

M. B.  
im.  
L. W.  
w  
Łodzi

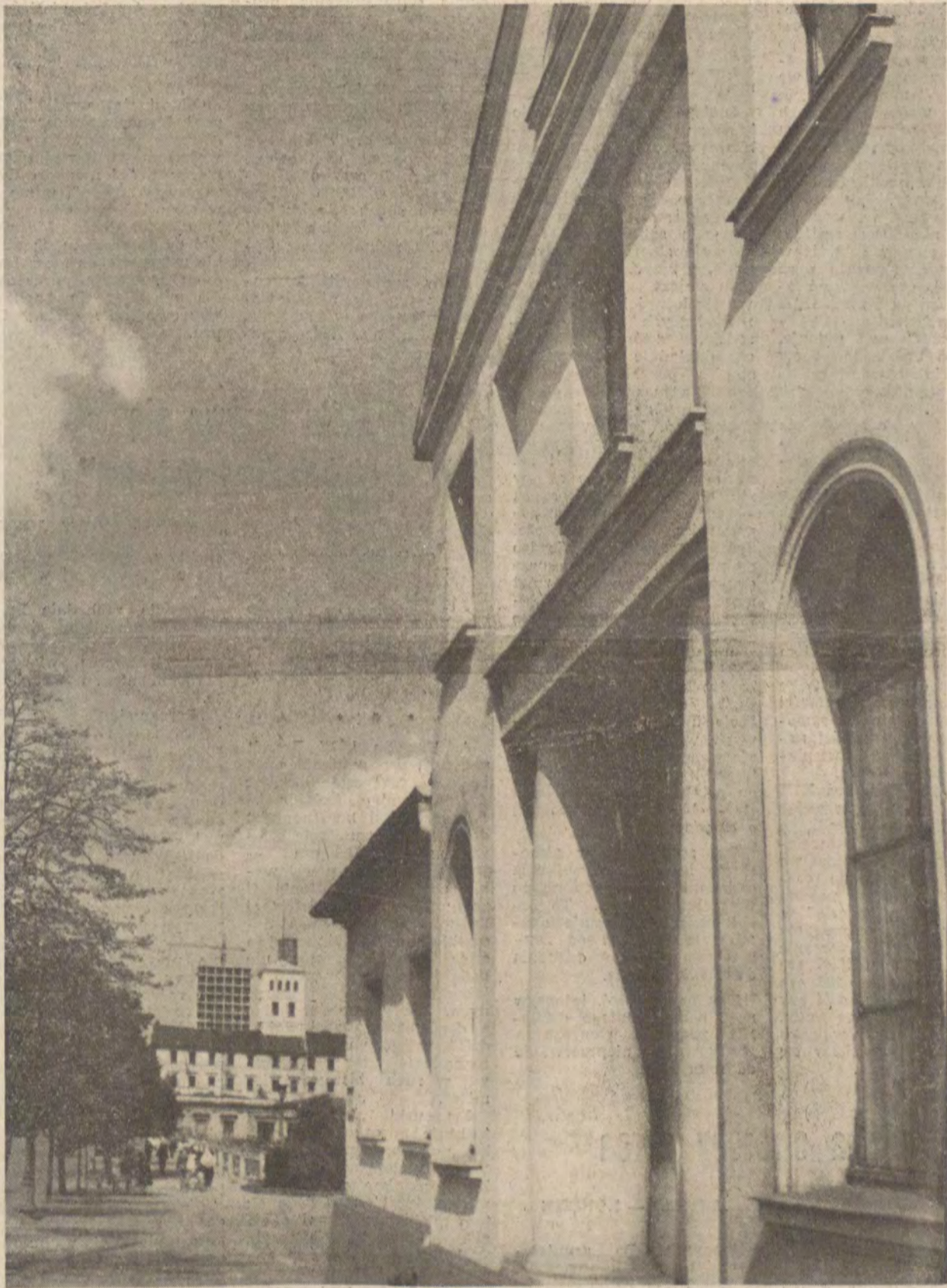
**W numerze:** JAN KOPROWSKI **Z wizytą u Marii Kuncewiczowej** ● JAN HUSZCZA **Poetyckie odwiedzin u bliskich** ● **Wiersze poetów białoruskich** ● TERESA WOJCIECHOWSKA **Trudne życie turysty** ● BOGDA MADEJ **Zezem na kosmetykę** ● **Zewsząd o wszystkim** ● **Nowela**

# Odgłosy



20. IX. 1970 r.  
38 (670)  
Cena 1,50 zł

**TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII**



Fot.: W. Parys

MARIA KUNCEWICZOWA

## Fantomy

Mijamy kolejną Nancy la Coquette — taki przydomek nosi to miasto, którego stołeczna kariera skończyła się razem z królem Leszczyńskim, ostatnim księciem udzielnym Lotaryngii. Tu także skończyła się moja kariera romanistki uwieńczona rozprawką o braciach Goncourt. Wiosna. Nad miastem skośne promienie w kurzu ulicznym i w pyłe kwiatowym z drzew, które chyba przetrwały od czasu, kiedy w parku La Pépinière chodziłem, słuchając wysokiego blondyna. Mojej matce mówił o Griegu, mnie o socjalizmie. Podobno wszystkie wypowiedziane słowa na zawsze wibrują w kosmosie.

Wzdłuż torów biegają nowe domy znaczone starym krzyżem lotaryńskim. W jednej z kamienic z pewnością mieszka jakaś M-me Stobel, może synowa tamtego chłopczyka, co na moje uwagi odpowiadał: „t'es bête, tu sais” i dalej galopował na krześle „A-a-a — arrêtez, cochet”... Pociąg biegnie dalej. Przemija cmentarz na wzgórzu, warsztat pracy nieboszczyka pana Stobela, kamieniarza — stukanie jego młotka także gdzieś się teraz rozlega między gwiazdami, i to jest ważna myśl, że cokolwiek mówimy, jakkolwiek dźwięk wydobywamy z przedmiotów — trwa wiecznie.

★ ★ ★

Przyjaciel, do którego podąży Jerzy, jest głuchy po wielkim biciu w obozie. Dzięki wspaniałemu wolińskiemu zdrowiu przetrwał bez aberacji zwanej zdradą. Na uniwersytet chodził w Wilnie. Niezdolny do normalnej zawodowej pracy, żyje w Monachium z niemieckiego odszkodowania, przewodnicząc polskim inwalidom, których trzyma w garści żelazną ręką i niesłabnącą inteligencją. Zwalczany przez emigracyjny Londyn, traktowany podejrzliwie przez kraj, za wiele dla Polski wycierpiał, żeby się godzić na to, że Polska w jakiegokolwiek postaci może nie mieć „szczytowych osiągnięć”. Uznaje jedynie politykę uczuć. O mężach stanu mówi np. tak: „On tak robił, bo kochał Dziadka, to jemu wolno i czort z nim, ja jego rozumiem”. Albo: „August Zaleski? To jest symbol, on do stronnictw nie mieszka się, ja jego rozumiem”. Podług niego w Niemczech kobiety są brzydkie, kuchnia trująca, architektura jest karykaturą pięknych wzorów greckich i francuskich. Tylko szwarcwaldzkie zegary z kukułką zasługują na przycięcie. Do Polski jeździ co roku podziwiać „szczytowe osiągnięcia”. Rozmowa z nim okazuje się, mimo technicznych utrudnień, pełna namietności jeśli dotyczy spraw polskich. Resztę świata przesłania resentyment. Dzień jest jasny i na 18 piętrze z okien hotelu widać Zugspitze w Alpach bawarskich. Jar ma doskonały wzrok, ale Zugspitze nie chce widzieć. „To błaga” — mówi.

Natomiast ja patrzę na Zugspitze z podziwem dla góry, która kiedyś obudziła alpinistyczne pasje u

Dalszy ciąg na str. 3

### Nowy konkurs „Odgłosów”

## Czy znasz architekturę Łodzi?

Od dziś przez osiem tygodni publikować będziemy na pierwszej stronie „Odgłosów” zdjęcia fragmentów łódzkiej architektury, wykonane przez artystę-fotografika, Włodzimierza Parysa. Nie będą to jakieś zupełnie nieznane obiekty, ukryte gdzieś na peryferiach miasta. Przeciwnie — niemal codziennie mijamy je, chodząc ulicami Łodzi — nie zawsze tylko potrafimy dostrzec ich piękno i oryginalność.

Warto się więc chwilę zastanowić — co to za budowla? Odpowiedzi prosimy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: „Odgłosy”, Łódź, ul. Piotrkowska 96 z dopiskiem „Architektura Łodzi”.

Konkurs trwa osiem tygodni, ale odpowiedzi należy nadsyłać co tydzień. Można zresztą odpowiedzieć tylko raz — taka odpowiedź, jeżeli będzie prawidłowa, weźmie również udział w losowaniu cennych nagród. Oczywiście szanse tych naszych Czytelników, którzy

nadesłają prawidłowe odpowiedzi na wszystkie konkursowe zadania, wzrosną ośmiokrotnie, ale podkreślamy — nie jest konieczne odpowiadanie na wszystkie pytania.

A zatem: jaki obiekt widnieje dziś na pierwszej stronie „Odgłosów”? Czekamy — „Odgłosy”, Łódź, Piotrkowska 96. Odpowiedzi tylko na kartkach pocztowych.

Wśród uczestników konkursu rozlosujemy cenne nagrody w postaci bonów towarowych wartości:

- I nagroda — 1.500 zł
- II nagroda — 1.000 zł
- III nagroda — 700 zł

oraz pięć wyróżnień w postaci wydawnictw albumowych.





W LUSACE ZAKOŃCZYŁA OBRADY III konferencja państw niezaangażowanych. Była to najliczniejsza z dotychczasowych konferencji. Jeśli w pierwszej, w Belgradzie w 1961 roku uczestniczyły delegacje 25 krajów, a w trzy lata później w Kairze — 47 krajów, tym razem — do Zambii — przybyły przedstawiciele 62 państw. Z tej liczby 53 delegacje uczestniczyły w obradach ze statutu pełnoprawnych członków, 9 zaś — ze statutu obserwatorów. Cechą znamieną konferencji był liczny udział — w charakterze obserwatorów — przedstawicieli państw Ameryki Łacińskiej.

Trzydniowe obrady zakończone zostały przyjęciem obszernej „deklaracji pokoju, niepodległości, rozwoju, współpracy i demokratyzacji stosunków międzynarodowych” oraz 14 rezolucji, wśród których zwracają uwagę: rezolucja, domagająca się natychmiastowego, całkowitego i bezwarunkowego wycofania obcych sił zbrojnych z Wietnamu oraz rezolucja, zawierająca żądanie natychmiastowego wycofania wojsk izraelskich z terytoriów arabskich oraz zastosowania wobec Izraela sankcji ekonomicznych i politycznych.

Podstawowym dokumentem konferencji jest wspomniana deklaracja, która tak określa cele spotkania w Lusace:

„Uczestnicy konferencji dokonali wymiany poglądów na temat roli krajów niezaangażowanych we współczesnym świecie. Ze szczególną uwagą podszli do zagadnień utrzymania i umocnienia pokoju, światowego bezpieczeństwa, zapewnienia niepodległości narodowej i pełnej suwerenności wszystkich państw, konieczności wprowadzenia w życie prawa wszystkich państw do samostanowienia oraz demokratyzacji stosunków międzynarodowych, konieczności działania na rzecz szybkiego rozwoju ekonomicznego krajów rozwijających się. Rozważali możliwość większej współpracy i konsultacji między krajami niezaangażowanymi oraz umocnienia ONZ”.

Z dokumentu, liczącego ok. 3 tys. słów wynikają podstawowe zasady polityki niezaangażowania. Są to: dążenie do pokoju, walka z kolonializmem i rasizmem, przerwanie kręgu zbrojeń, sprzeciw wobec tworzenia obcych baz na terytoriach innych państw, umocnienie ONZ, zapewnienie niepodległości ekonomicznej i współpraca gospodarcza krajów na zasadach wzajemnych korzyści.

Konferencja w licznych komentarzach zagranicznych oceniana jest jako duży sukces krajów niezaangażowanych. Zwłaszcza optymistycznie nie pisze o szczycie w Lusace prasa jugosłowiańska, kraju — współorganizatora przed dziesięć laty pierwszej konferencji.

Gwoli jednak prawdzie trzeba stwierdzić, że w toku spotkania dano o sobie znać różnorodną trudność, związane zwołaczą z interpretacją „niezaangażowania”. Trudno się temu dziwić, ponieważ na sali obrad znalazły się przedstawiciele nie tylko tych krajów, które zdecydowanie opowiadają się za antyimperialistycznym kierunkiem tego niezaangażowania. Fakt, że wymowa deklaracji i rezolucji jest jednoznaczna, świadczy, iż przewagę na konferencji zapewniły sobie kraje bardziej postępowe.

Znaczenie konferencji — poza liczebnością i jednoznacznością postanowień — podkreśla tak że czas jej odbycia, poprzedzający bezpośrednio sesję Zgromadzenia Ogólnego NZ. Postanowienia „szczytu” w Lusace mogą bowiem stanowić generalną wytyczną dla działalności delegacji tych państw w toku obrad ONZ nad najważniejszymi problemami międzynarodowymi. Jak zaś istotny będzie to głos na tym między narodowym forum — nie trzeba wyjaśniać.

W KOLEJNOŚCI ZWRÓĆMY UWAGĘ Czy teńników na dwa dniestnie agencyjne z ostat nich dni, dotyczące kolejnej rundy rozmów przedstawicieli rządów Polski i NRF. PAP po informował, iż trwają jeszcze uzgodnienia na temat terminu następnego spotkania, a następ nie rzecznicy rządu bońskiego podali do wiadomości, iż zwrócono się do rządu PRL o przesunięcie daty rozmów, która po piątej rundzie ustalona została na wrzesień (ostatecznie 6 runda odbędzie się w październiku, a w listopadzie przybędzie do Warszawy minister Scheel). Rzecznik von Wechmar uzasadnił tę prośbę dążeniem do stworzenia szerokiej bazy parlamentarnej dla zamierzonego układu. Wyraził on jednocześnie przekonanie, że układ z Polską będzie gotowy jeszcze w bieżącym roku.

Przesunięcie terminu rozmów, które, jak oczekuje się, mogą ostatecznie przygotować tekst układu, żywo komentowane jest w prasie zachodniemieckiej. Biuletyn SPD — „Pres sedienst” podkreśla, że „rząd Brandta niezwykle ostrożnie kroczy obraną drogą w dziedzinie polityki wschodniej i nie widzi powodu do przyspieszenia dokonującego się w tej dziedzinie rozwoju”.

Słowa rzecznika o potrzebie „stworzenia szerokiej bazy parlamentarnej” komentowane są jednoznacznie jako chęć rządu Brandta takiego opóźnienia rozmów, które wygasił namietności opozycji po układzie moskiewskim. Czas bowiem, podkreśla się w tych komentarzach, działa na korzyść Brandta.

DUŻE ZAINTERESOWANIE prasy NRF wywołuje także zapowiedziana na 30 września kolejna tura rozmów czterech mocarstw na temat Berlina zachodniego, ale do tego tematu powrócimy już innym razem.

W. ŚLAWSKI

● Zawszqd o wszystkim ●

Zawszqd o wszystkim ●

## Czyżby drugi okres lodowcowy?

„SCIENCE NEWS” — WASZYNGTON

W ciągu minionych stu lat znacznie zmienił się klimat planety, co obalilo istniejący dotąd pogląd o klimatycznej stabilizacji Ziemi.

I tak, w okresie od 1880 roku do początku lat 40 na szego stulecia, średnia temperatura na naszej planecie stopniowo rosła. Potem rozpoczął się nagły proces postępującego ochłodzenia, który trwa do dziś.

Do roku 1940 średnia roczna temperatura na naszej planecie wzrosła o 0,6 stopni C, ale od momentu procesu ochładzania przysto ten zmniejszył się już o połowę. Na pierwszy rzut oka zmiany te mogą się wydać mało istotne, jednakże, w takich ważnych rejonach Ziemi, jak Arktyka nabiera ją one większego znaczenia. Rejon ten wywiera bowiem duży wpływ na klimat całej naszej planety. Jak ważką rolę odgrywają te, wydawałoby się, nieznaczne zmiany, świadczy choćby fakt, iż w Anglii, w porównaniu z rokiem 1930, częstotliwość opadów śniegu zwiększyła się dwukrotnie.

Odpowiedź na pytanie, jak długo będzie trwał ów proces ochładzania, jest dziś jednym z najważniejszych problemów naszej cywilizacji. Musimy bezwzględnie wyjaśnić, czy jest to proces żywiołowy, czy też spowodowany działaniem człowieka, bo jeśli ochładzanie będzie przebiegać w dotychczasowym tempie, to za 200-300 lat ludzkość grozi jeszcze jeden okres lodowcowy...

Klimatolodzy dąliby wie le za to, żeby poznać przyczyny obniżania się temperatury Ziemi. Cały problem polega na tym, że gdyby wziąć pod uwagę tylko zwiększanie się zawartości dwutlenku węgla w atmosferze, to w przyszłości należałoby oczekiwać ocieplenia. Ale tak nie jest.

Poczynając od końca XIX wieku, człowiek spala wciąż rosnące ilości różnorodnego paliwa, nasycając atmosferę ziemską dwutlenkiem węgla. Jak się ostatnio ocenia, mniej więcej połowa tej ilości CO<sub>2</sub> „ugrzeźła” w atmosferze. Ta koncentracja dwutlenku węgla znacznie wzrosła: w końcu XIX stulecia wynosiła ona 290 cząstek na milion, dziś wynosi już 322 cz. na mln. Przewiduje się, iż w roku 2000 liczba ta zwiększy się do 369 cz. na mln.

## Woda a choroby serca

„TIMES” — LONDYN

Dlaczego w jednym miejscu scowociach więcej ludzi choruje na serce, a w innych mniej, nie wiadomo jeszcze dokładnie, ale, być może, rozwiązaniem tej zagadki należy szukać w wodzie do picia.

W toku licznych obserwacji lekarskich stwierdzono, iż śmiertelność w wyniku chorób sercowych jest niższa tam, gdzie gleba jest stosunkowo bogata w różne rodzaje metali i że najprawdopodobniej za pośrednictwem wody do picia te składniki gleby przedostają się do organizmu ludzkiego.

Uzyskano już pewne dane z obserwacji, dokonanych w stanie Georgia w USA. Stwierdzono mianowicie, iż w południowych rejonach tego stanu śmiertelność spowodowana chorobami sercowo-naczyniowymi jest znacznie wyższa, niż w rejonach

Molekuły CO<sub>2</sub> umożliwiają krótkofalowym promieniom słonecznym przenikanie przez atmosferę, a z drugiej strony zatrzymują emanowane przez powierzchnię ziemską promienie podczerwone o znacznej długości fal. W wyniku tego procesu podwyższa się średnia temperatura na naszej planecie.

Badania uczonych wykazują, iż mniej więcej „jedną trzecią ocieplenia”, które nastąpiło w okresie od 1880 roku do 1940, należy zawdzięczać dwutlenkowi węgla. Ale na czyje „konto” zapisać pozostałe dwie trzecie — dotychczas nie wiadomo.

Dlatego to przed klimatologami stanął nowy problem: dlaczego, mimo nieustannego zwiększania się dwutlenku węgla w atmosferze, poczynając od roku 1940 obserwuje się na Ziemi stałe ochładzanie? Niektórzy meteorolodzy utrzymują, iż przyczyną tego procesu należy szukać we współzależności zjawisk zachodzących w przyrodzie, których jeszcze dokładnie nie zbadano. Na przykład ogromna wymiana ciepła pomiędzy atmosferą a Oceanem Spokojnym. Inni wskazują na fakt gwałtownego zwiększenia się ilości pyłu i innych makrocząstek w atmosferze, co — jak sądzą — sprowadza do zera „ogrzewające” właściwości dwutlenka węgla. Stwierdzono na przykład, że na przestrzeni lat 1905—1964 zmieniła się atmosfera nad Waszyngtonem zwiększyło się o 57 procent, a nad jednym z miast szwajcarskich aż o 88 procent, w dodatku w bardzo krótkim okresie czasu, bo od roku 1920 do 1958. Seria innych badań naukowych wykazała, iż zmniejszenie atmosfery nad Oceanem Spokojnym, tylko w przeciągu ostatniego dziesięciolecia (1957—1967), zwiększyło się o 30 procent.

Pył zawieszony w atmosferze utrudnia przenikanie promieni słonecznych na powierzchnię Ziemi. To „ochładzające” działanie okazuje się silniejsze od „ogrzewającego” działania dwutlenku węgla.

Tak czy inaczej, intensywność bezpośredniego działania promieni słonecznych zmniejsza się nieprzerwanie od roku 1940!

Po gruntownych badaniach ustalono, iż zasadnicza różnica pomiędzy tymi rejonami polega na zawartości minerałów w glebie: w północnych, wiejące skały nieustannie zasilały glebę w minerały, podczas gdy południowe są pod tym względem stosunkowo ubogie. Wyciągnięto stąd wniosek, iż wysoka śmiertelność w wyniku chorób wieńcowych serca jest spowodowana raczej niedostatkiem, niż nadmiarem cząstek minerałów, przedostających się z pokarmem do organizmu człowieka.

Wniosek ten potwierdza statystyka śmiertelności z powodu chorób naczyń wieńcowych w Wielkiej Brytanii. Wynika z niej, że śmiertelność spowodowana tym schorzeniem jest dużo wyższa w miejscowościach z tak zwaną miękką wodą.

## Jak u siebie w domu...

„LE MONDE” — PARYŻ

Władze brytyjskie z uporem przeszkadzają rządowi Cypru w zawarciu umowy z francuską kompanią radiofoniczną „SOMETRA”, w sprawie budowy na wyspie stacji, transmitującej francuskie programy radiowe na Bliski Wschód. Anglicy pozwalają się na specjalny paragraf porozumienia, podpisano w roku 1960 między rządami Makariosa i Wielkiej Brytanii, zgodnie z którym radiotelewizyjna sieć Republiki Cypru znajduje się pod kontrolą brytyjską.

„Jak utrzymują Anglicy, stacja retransmisyjna, projektowana przez francuskich techników, utrudniałaby pracę ich własnym urządzeniom przekazywanym oraz stacjom nasłuchu radiowego, zwłaszcza na Przylądku Greko, gdzie znajdują się brytyjskie stacje radarowe, użytkowane przez NATO oraz na Przylądku Kormakiti, 30 kilometrów od obozu Nikolas — centrum brytyjskich stacji nasłuchu radiowego na Cyprze.

Plany radiofonii francuskiej wywołały niezadowolone nie tylko w Londynie, lecz również w Waszyngto-

nie. USA otwarcie sprzeciwiają się zamysłom Francji ulokowania się w tym rejonie. Amerykanie ze złe ukrywany rozdrażnieniem śledzą francuskie zamierzenia „przeniknięcia” na wyspę, którą Jankesi nazywają „swoim peryskopem” na Bliskim Wschodzie.

Sprawa jest o tyle skomplikowana, że w ubiegłym roku Cypryjczycy odmówili Amerykanom zezwolenia na budowę radiostacji, która miała emitować programy amerykańskie na kraje Bliskiego Wschodu. (Prawdę mówiąc, Amerykanie mają na Cyprze trzy stacje nasłuchu radiowego: dwie w pobliżu Nikozji i jedną w Kirenii).

Odnosi się wrażenie, iż rząd Makariosa dość zdecydowanie przeciwstawia się wpływowi Brytyjczyków, którzy nadal uważają Cypr za „swoją strefę”, mimo że w roku 1959 wyspa uzyskała niepodległość. Makarios stoi na stanowisku, iż wszelkie ustępstwa na rzecz Londynu stwarzają precedens dla mieszania się Anglików w wewnętrzne sprawy Cypru.

## Co nazywa się „niebezpieczeństwem”

„TIME” — NOWY JORK

Część prasy burżuazyjnej próbuje zastraszyc państwa zachodnie rękami „niebezpieczeństwem” porozumienia się między ZSRR i NRF. Cel tych publikacji jest aż nadto jasny: polityczna supremacja USA w Zachodniej Europie.

A. Kosygin i W. Brandt podpisali porozumienie, oznaczające faktycznie koniec drugiej wojny światowej.

Nasz boński korespondent donosi: „Porozumienie — według słów Brandta — jest początkiem powstawania nowej ery zaufania i zrozumienia w podzielonej Europie. Jest również początkiem nowego kursu Niemiec Zachodnich, które nie będą już więcej w pełni zależne od Stanów Zjednoczonych. Jak powiedział jeden z dyplomatów zachodnich, dzień, w którym zawarto porozumienie, od nowa wprawił w ruch historię Niemiec”.

Francuski „Le Monde” traktuje porozumienie jako „moment zwrotny w historii współczesnej Europy”. Zachodniemiecki tygodnik „Spiegel” nazwał je aktem „dalekowzrocznej odwagi”. Niemiecki historyk, Carl Kaiser, uważa, że porozumienie jest pierwszą fazą nowego systemu bezpieczeństwa w Europie.

Poza tym porozumienie stwarza możliwość położenia kresu, pozbawionej per

spektyw, sytuacji politycznej ukształtowanej w Europie.

Obecnie, zachodnia Europa, już muśnięta ciepłym wiatrem zapoczątkowane go rozładowania, wiąże z porozumieniem nowe nadzieje.

„Porozumienie między ZSRR i NRF wytrąca Europę z polityczno-ekonomicznego zastoi w stosunkach między Wschodem a Zachodem, który się wytworzył od początków „zimnej wojny” — pisze nasz korespondent, William Rademeckers — i stwarza szerokie perspektywy dla aktywnej działalności ekonomicznej i dyplomatycznej”.

Jednakże z punktu widzenia przyszłości zachodniej Europy jest dziś najważniejszą rozstrzygnięciem kwestii: czy zdoła ona sama wytrzymać sowiecki nacisk? Jest to możliwe tylko w przypadku supermocarstwa, a chyba zachodnia Europa nie stanie się nim w najbliższych dziesięcioleciach. Po pierwsze jest ona izolowana politycznie, a po drugie nie dysponuje dostatecznym potencjałem jądrowym.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że moskiewskie porozumienia i stymulowane przezeń dążenie do rozładowania mogą budzić w krajach zachodnich nieuzasadnione odczucie bezpieczeństwa i wzmocnić tendencje do izolowania się od Stanów Zjednoczonych.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

★ WŁADYSŁAW MARIA GRABSKI — Trudne problemy kształcenia

★ TADEUSZ POKLEWSKI — Emocje odkrywcy

★ KONRAD FREJDLICH — Z podróży po NRD

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna



Olesia i u tysięcy dawno pogrzebanych Olesiów, a teraz bliższy w słońcu, kusząc nowe tysiące. „Wie heisst du?” pytał mego brata — studenta, chłop bawarski — przewodnik, „Szczepański” — „Zu schwer. Dein Vorname?” — „Aleksander” — „Zu schwer. Ich werde dich ja Joseph nennen”. Chodzili razem na różne szczyty i za wsze dopisywała pogoda. „Dein Joseph glueck” — zawyrokował przewodnik.

Wyruszamy z Jerzym na miasto — znowu dopisuje Joseph glueck. Englischer Garten, gdzie się bawiłam — małaletnia — z małymi Niemkami, kiedy Oleś przygotowywał doktorat u prof. Brentano, kwitnie; Izara szumi, skacząc po skałach; jakaś matka w pobliżu wodospadu woła: „Markus! Markus!” za chłopcem uciekającym w Nieznane, jak kiedyś Witold uciekał w warszawskim ogrodzie Frascati. Na tych tutaj odświeżonych obszarach nad rzeką mało ludzi. Buki obleczone w korę podobną do skóry egzotycznego zwierzęcia, wypisują na niebie swój roślinny rodowód jedwabną zielenią, piękne, a może dla małych chłopców niezauważalne, bo wielkie. Markus ucieka, nie patrząc na drzewa, ani na Friedensaeule z aniołem obwieszającym pokój jakiemś obtokowi. Ma ximilianeum wylizuje się na słońcu z wojennych ran zarośniętych tynkiem koloru innego, niż całość.

Przy pomocy swoich i obcych „Wesołych Kalek”, niemieckie rany się zablizniły. Po dzisiejszym Monachium chodzę jak po mieście z mapy mojego dzieciństwa, ale 15 lat temu, przyjechawszy z Londynu, który już się był otrząsnął z co ważniejszych ruin, nie poznawałam śródmieścia, tak było zawałone gruzem i pustką. Z poręki tegoż przyjaciela stanęliśmy w hoteliku naprędce skleconym oszczędnie i funkcjonalnie. W restauracji mówiliśmy głośno po polsku, a im głośniejsi mówiliśmy, tym niżej się kłaniali i ciszej mówili kelnerzy. Dzisiaj w „Deutscher Kaiser” portier wydaje klucze z dumą pruskiego barona.

Hotele zresztą nie są miarodajne dla usposobienia autochtonów. Bawarów poznaje się w Bierhallach. Do Olesia przyjechaliśmy z matką za późno na Mai-bock, sławne piwo majowe, więc w 60 lat później idziemy z Jerzym do Hofbrauerhausu na kielbaski i kartoflową salate, obiad, który jest dodatkiem do musującego kamiennego kufła olbrzymich rozmiarów. Środek dnia. Przerwa w pracy. Wkracza się do lokalu o proporcjach katedry pełnej rezonansów. Przy prostych sosnowych stołach zasiadają tłumy hałaśliwych osób i trochę mężczyzn pograżonych w medytacji nad kwarta piny przypominającego urynek. Obok wiszą lodenowe zgniozdelone płaszcze z jedną fałdą z tyłu, takie same, jak na początku stulecia. Na opieki udach wzdymają się krótkie portki, noszone dotąd chyba tylko tu i w parkach angielskiej arystokracji. Kobiety zachowują na drobno ufryzowanych głowach kapelusiki tyrolskie z piórkami. Marzyła o takim moja Helene Goertz w Plocku, pomagając mi pisać „Ich bin, du bist, er ist” — „Ich bin was?” — pytałam. — „Eine kleine Polin” — odpowiadała ze smutkiem. W pensjonacie Olesia mieszkaliśmy z mamą na Kaulbachstrasse i gospodyni strofowała: „Aber Frau Professor, diese wun derbare Sose!” bo matka odgarniała z mięsa brzydki brunatny sos.

Uśmiechnięte kelnerki w obfi-

tych jubkach i obciśniętych gorsach miotają się sprawnie, bez śladu zmęczenia, mężczyźni skubią je, żadna się nie gniewa, niektóre towarzystwa śpiewają. Inne wrzeszczą; wesoło jak bywało w Kazimierzu na odpustach, filozofowie zasypiają, albo udają sen, jak udawał Prusz na werandzie Berensa. Wstaje i kieruje się do kiosku z gazetami pośrodku nawy głównej. „Czy ma pan „Herald Tribune”?” Zaskoczenie. „Nie, nie mam”. Sprzedawca i paru klientów patrzą na mnie z powątpiewaniem: po co właściwie Bóg stworzył cudzoziemców? Dobrodo szny tłum w Bierhall, to jedna

dni po nocy długich noży, kiedy to Hitler kazał zamordować Roehma”.

Po chodniku fruwa gazeta z wiadomością, że w amerykańskim Kent (Ohio) Gwardia Narodowa zabiła czworo studentów. Państwa wpadają w panikę przed młodzieżą. Foen aresztuje gazetę, pedzi ją pod koła autobusu. W starym Mnichowie spokój. Przebrzmiały wrzaski „Heil Hitler”, ale nikt nie krzyczy „Maol Mao!” czy „Lenin!” Byłam akurat w Londynie w okresie układów monachijskich. Po Dover Street szedł pochód ponury, wydający co minutę chórny okrzyk: „Chamberlain

## Fantomy



Fot. CAF — Tymiński

rodzina, która sobie wszystko wybacz, obcych toleruje, ale ich nie lubi, podobnie jak chłop nie lubi inteligenta za to, że on mu jest potrzebny.

Ulicą wieje wiatr foen, o którym Oleś mawiał, że to „szwabski halniak”. „Ciekaw jestem, czy ta atletka jeszcze żyje?” — „Jaka atletka?” — „Ta, co ją w 1933 poznałem na dworcu w Neapolu i znów spotkałem na Capri — przy pominięciu Jerzy. — Wiesz, ta od Roehma, ładna”. — „Ach, ta? Pamiętam. Pewnie przeminęła z... foemem”. „Pomyliło ci się. Zapoznała mnie z Roehmem, nie z foemem. W „Gatto Nero”. Ciebie wtenczas nie było”. Jerzy się rozgląda. „Zapomniałem jak się nazywał hotel, gdzie stanąłem latem — chyba w 1934? — Patrzę... dziury w ścianach, futryna wyrwana... Zajechałem tam w drodze do Paderewskiego, do Morges, w parę

must go”. Podzielałam to zdanie, co nie przeszkodziło mi wkrótce potem wziąć udziału w wydyskapaniu pisarzy polskich do „odzyskanego” Cieszyna. Chodziło przecież o zachowanie na Zaolziu pięknej polskiej mowy! Ze ta rewindykacja działa się pod osłoną Hitlera, nie zakłócało radości poetom. Tańczyłam z Maciejem Freudmanem z lwowskich „Sygnałów”, wymienialiśmy promienne uśmiechy, z Kazimierzem Wierzyńskim z warszawskiego „Skamandra”. Tymczasem w Kazimierzu Dolnym mój mąż zabronił wywieszenia na naszym domu triumfalnej flagi. Działacz dojrzał wcześniej ode mnie.

Frauenkirche z kwadratowymi wieżami, każda nakryta hełmem podobnym do czapki Monomacha, masywna, tępa schyłkowa sennoscia średniowiecza, które miało niebawem rozkwitnąć w Rene-

sans. Jak w Warszawie, jak w Wiedniu, jak w Gdańsku i Norymburdze w środku pusto, białe — wojna wymiotła kolor razem z witrażami, zdjęła freski, potraszała pomniki. Francuska dama miała rację, że nie należy wpuścić wojny do kościołów. Ocalały podobno rosyjskie ławry. Wielkie, spokojne oczy madonn bizantyjskich patrzą, jak w Rosji zmieniają się style. We Frauenkirche tylko krypty jeszcze zięją makabrą gotyku, sarkofag barokowy stoi pusty. Coś tu musiał dziać Jan XXIII, bo w jednej z kaplic opiewa to łacińska tablica. Pewnie w imię Chrystusa odpuścił prąym i lewym burzycielom.

W mieście nie widzę śladów po Henryku Lwie, ślady po Wittelsbachach nie dały się zatrzeć, ale mnie obchodzi ślady Olesia. Na królewskim szlaku Ludwika i Maksymiliana upatruję gmachu, gdzie śladywał na wykładach; biblioteki, gdzie pisał; pinakotek, dokąd chodził z Norą Minamayer patrzeć na Memlingi i Boeckliny. U Jasia w Krakowie jeszcze istnieją zdjęcie jego ojca, które się pokazuje dzieciom, jako dokument niepojętej inności młodych sprzed pół wieku: na obszernym kapitulu kolumny, gdzie wysoko w powietrzu leży, wsparty na łokciu, Oleś w sztywnym kołnierzyku i krawacie, na trawie pod drzewem stoi zapatrzona w niebo osoba w czarnej sukni z trenem, u jej stóp młodzieniec kłęczy z ramionami skrzyżowanymi pod peleryną — trójka chyba też święta, tak niezgodna z prawami natury, faun w krawacie (może Szymon Stupnik), nimfa w czerni i z kokiem, adorujący „trzeci” — bez rąk.

Gdzie Oleś? Gdzie nasza niedobra, ukochana mama z Iorgnon na łańcuszku? Przejeżdżam koło Ope ry odnowionej, wielkiej ze złocistą mozaikową attyką. Może tutaj jest mama? Nie, bo dają Falstaffa; ona nie lubiła komedii. Pewnie siedzą z Olkiem w Prinzregententheater, zbolali, wzniosli, pochłonęci przez monumentalną nudę którejś z kolei wagnerowskiej apoteozy. Nie. Bo nie ma Prinzregententheater.

Na Schwabingu wieczór gwiazdzisty. Topole pachną, intryguje obskurna knajpa „Die Seerose”, ulubiona gospoda Wedekinda. Może to tutaj oszołomiony majowym piwem, wymyślił *avant la lettre* swój gombrowiczowski dramat dojrzewania? Tu Przybyszewski przesiadywał ze swoją Ksantypą, zgorzkniałą, znarkotyzowaną i Oleś z lekiem się o nich ocierał. Klimat Przybyszewskiego panuje także w narożnym drugstworze, niby podobnym do paryskiego, a przecież całkiem innym. I tam, i tutaj nie tylko się je, pije, tańczy, i pali po amerykańsku, ale i kupuje różne amerykańskie bagatelle w stoiskach okalających przestrzeń do tańczenia. Tylko że w Paryżu punktem odniesienia jest współczesna, funkcjonalna Ameryka, podczas kiedy w Monachium przesiadki raczej nastroje Greenwich Village — op art zaprawiony Toulouse Lautrec'em. W Paryżu Ameryka młodych jest serio, w Monachium — groteskowa. Francaja straciła na humorze, Niemcy w *univers concentrationnaire* na humorze zyskały. Zresztą wszędzie hippiesowska maskarada, to powracająca fala cyganerii, gwałtowniejsza o wszystkie gwałty epoki. W surrealistycznych oparach Schwabingu, pośród najświeższych gadżetów i elektrycznego jazzu, dziś jak przedwcześnie Przybyszewski byłby na miejscu. Ale niepalący, niepijący, monogamiczny Oleś wydaje się nieprawdopodobny.

Smutno mi. Odpoczywam na ławce w Nymphenburgu i ogarnia mnie zdumienie na widok ogromu tego, na co patrzę: dom,

raczej kompleks domów, do dyspozycji jednego człowieka. Tak i nie. Przecież kiedyś to było „osiedle mieszkaniowe” pełne lokatorów. Tak jak teraz ludzie są potrzebni państwu, dawniej byli potrzebni księciu. Mieszają się różnice i analogie, męczą mnie i nie umiem się obronić! Posągi w rokokowym parku zostały ustawione podług tego samego planu, co we francuskim Wersalu i w saskiej Warszawie. Te same boginie w kuszach tunikach, przedstawiające uczucia i potrzeby człowieka. Justicje, Wenery, Sztuki Piękne, Nauki... Ale mimo „zażydzenia”, a więc demokratyzacji, Saskiego Ogrodu, symboliczne panie przed wojną zachowywały wszystkie członki ciała. Teraz traca nosy i ręce. Czyżby Rewolucja Kulturalna była ostrzejsza faza chuligaństwa? Jakże trudno wyodrębnić zjawisko, nie poruszając bezdenne szlamu jego antecedencji. Terror młodości należy jakoby do specyfiki naszego czasu. A niewola filozofów greckich u pięknych efebów? A Julien, Sorel, nieśmiertelny tyran starszej pani? A starszy pan Nabokoffa, zniszczony przez dziecko? Kult starej Wiktorii, narzucony Europie przez Anglię i Niemcy, odwrócił mężczyzn od podlotków; dzisiaj na tron wróciła Lolita.

Dopiero dzisiaj? Ależ „Galeria Piękności” w pałacu nymphenburskim nie ukazuje matron. Ta duża seria urody kobiecej jest dość jednolita w wyrazie. Z wyjątkiem płomiennego oblicza Loli Montez i dowcipnie uśmiechniętej buzi ja kiejs monachijskiej mieszczi przebranej za grecką wieśniaczkę, twarz wybrane przez starego króla są młodzieńczo puste. Konwencja chrześcijańska: czaszka — siedlisko duszy, oczy — okna duszy, nie potwierdza się w głowach podanych na obnażonych biustach, jak na marmurowych postumentach. Niżej, pod strumieniami koronek, widać żebra ściśnięte gorsetem, klatkę, gdzie serce i odech ledwie żyją. Dolna część ciała portreciści zignorowali. Nogi modelek zresztą i tak były ukryte w atlasowych namiotach, spod których nieśmiało wypelzały stopy. Na wiosnę 1970 piękność, to właśnie nogi odsłonięte, nogi triumfalne. Twarz mało znaczy, nikt nie lubi regularnych rysów, różnianej cery, niewinnego spojrzenia, jedyna niezmienna predylekcja, to młodość. „Okna duszy” przeważnie pozostają zamknięte.

Wracając z Nymphenburgu do centrum, mijam jakiś Siegestor bez kwadrygi, bez lwów, bez skrzydlatego Zwycięstwa — malarz pokojowy „zalatwił” starą mitologię Bawarii. Monachium te raz jest siedliskiem amerykańskiego mitu o Wolnej Europie, który głoszają nie — jak dawniej — powstający przy pomocy Mesjasza — tylko urzędnicy przy pomocy radia.

Trudno się oprzeć puszystym górom śmietanki w cukierniach monachijskich. Siadam przy marmurowym stoliku, jem powoli lyżeczką, słodczy napędza lzy do oczu, gardło pulsuje z emocji, jak wtenczas; kiedy fundatorem był w Oleś w sekrecie przed mamą. Przenoszę wzrok z talerzyka na dwie postaci na kanapie pod lustrem. Matka i córka. Ta sama twarz trzydziestoparolki i kilkunastoletnia. Twarz starsza przywołuje erotyzm; u matki oczy są płynne i głębokie, u córki płaskie, porcelanowe; na starszej twarz leży niebieski odcień, twarz córki jest jaskrawa i nie nie mówi, podczas kiedy matka pyta bez słów i prosi o odpowiedź.

MARIA KUNCEWICZOWA

Fragmenty większej całości, która ukaze się nakładem Instytutu Wyd. „PAX”.

JAN KOPROWSKI

## Z wizytą u Marii Kuncewiczowej

W tym roku, wiosną, w warszawskim Domu Literatury Maria Kuncewiczowa miała swój wieczór autorski. Ludzi przyszło dużo, zagali (jeśli mnie pamięć nie myli) Lesław Bartelski, a utwory pisarki czytał aktorzy i ona sama. Bardzo mi się podobały, odczytane przez Marię Kuncewiczową, fragmenty „Fantomów”, utworu trudnego do zdefiniowania pod względem rodzaju, bo nie jest to ani powieść, ani esej, ani reportaż, ale właściwie wszystko to po trochu i jeszcze coś ponadto. Piękna proza, stanowiąca rezultat

wielkiego doświadczenia życiowego i pisarskiego autorki, która posiada w swoim dorobku tak znakomite rzeczy jak „Cudzoziemka”, „Klucze” czy „Tristan 1946”. Lubię również „Odkrycie Patusanu”, zbiór szkiców, pisanych różnymi czasami i publikowanych w Polsce i za granicą, które zebrane i za mnie są ważkim uzupełnieniem powieściopisarskiej i nowelisticznej twórczości Marii Kuncewiczowej. Szczerze gólnie cenny w tej książce wydaje mi się cykl „Z kazimierskiej teki” oraz szkice tytułowy, „Odkrycie Patu-

sanu”, mówiący o spotkaniach pisarki z niepokojącym i fascynującym pisarstwem Józefa Conrada. I oto nadarzyła się sposobność, aby odwiedzić autorkę „Przymierza z dzieckiem” w jej własnym domu. Wakacje tegoroczne przyszło nam z Felicją spędzić w kazimierskim ośrodku prasowym, sąsiadującym o miedzę z willeką Marii i Jerzego Kuncewiczów. Któregoś dnia poszliśmy tam z wizytą, uzgodnioną przedtem telefonicznie. Pierwsza wizyta będzie krótka — pomyślałam. — Nie na leży gospodarzy zameczać i

zabierać im zbyt wiele czasu. Okazało się rychło, że gościnni gospodarze nie pozwolili zatruć konwensansowi towarzyskiemu, ich bezpośredniość i prostota bycia zapewniły naszemu spotkaniu atmosferę nieskrępowania i serdeczności. W domu tym Maria i Jerzy Kuncewiczowie mieszkają od 1936 roku (nie licząc, oczywiście, czasu wojny spędzonego w Anglii i kilku lat pobytu w Ameryce po wojnie), ale ich

Dalszy ciąg na str. 4



# Z wizytą u Marii Kuncewiczowej

Dalszy ciąg ze str. 3

związki z Kazimierzem są wcześniejsze i datują się już w początkach lat trzydziestych. Tu, w Kazimierzu, Maria Kuncewiczowa napisała cześćciowo lub w całości „Miasto Heroda”, „Dwa księżycy”, „Cudzoziemki”, „Dyblin warszawski”, „Don Kichota i niańki” oraz „Tristana 1946”.

— Teraz piszę tutaj „Fantomy”. Pierwszy tom mam już gotowy i niebawem oddam go wydawnictwu. Wkrótce zacznę prace nad drugim, bo całość składać się będzie z dwu tomów. Tyle nazbierało się materiału przez lat życia. Mogę powieść dzieć, że cała siedzę w tej książce.

„Fantomy” będą dziełem o wszystkim: o podróżach zagranicznych i w Kazimierzu, o spotkaniach z ludźmi i rozważaniach o literaturze, o tym, co widziane, i o tym, co przemyślane.

Za chwilę zjawiają się na stole filiżanki z herbatą, pyszne konfitury i ciasteczka. Jest mała przerwa w rozmowie. Rozglądam się po izbach: tu można pracować, cisza jakiej nie znajdziesz nigdzie. Wnętrze urządzone wygodnie, nieprzeładowane meblami. Gdy później zejdziemy na dół, zwróca naszą uwagę świecznik meksykański i dwa oryginalne pieciki: jeden huculski, drugi z kafelków miśnieńskich, a w jednym z pokojów na górze — wiszące dwuskrzydło we lustro po Helenie Modrzejewskiej. Z werandy urzekający widok na zalesione wzgórze Kazimierza.

Państwo Kuncewiczowie wrócili niedawno z podróży zagranicznej, w której zaważli również o Wiedeń. Mówimy o wspólnych znajomych: nieżyjącym już Franciszku Cskorze i obecnym sekretarzu austriackiego PEN-klubu, Hildzie Spiel.

— Pani Spiel przyjedzie wkrótce do Polski — mówi Maria Kuncewiczowa — gdzie będzie również naszym gościem. Bardzo nam przypada do gustu: duża wie-

dzia, bystra inteligencja. Interesuje ją nasz kraj, zresztą w Austrii ludzie wiedzą więcej o Polsce, niż w krajach zachodnich.

Rozmowa schodzi na głosny w Europie dramat Rolfa Hochhuta o generale Sikorskim. Hochhut sugeruje w nim, że tragicznej śmierci Sikorskiego winien jest Churchill. Ostatnio ogłosił on nowe w tej sprawie oświadczenie. Maria i Jerzy Kuncewiczowie wątpią, czy tak było naprawdę. Tragiczność śmierci Sikorskiego jest wielką zagadką, ale Hochhut daleki jest chyba od jej rozwiązania.

— Dramat Hochhuta widzieliśmy na scenie. Jest to rzecz pod względem artystycznym nie najwyższego lotu. To raczej reportaż z dużymi wstawkami publicystycznymi, które scena źle znosi. Stawa i rozgłos tego utworu mają źródła pozaliterackie. Narodziły się w atmosferze politycznego skandalu. Zjawisko częste w literaturze zachodniej. Skoro mowa o dramacie, pora w tym miejscu zauważyć, że Jerzy Kuncewicz przygotował adaptację sceniczną „Cudzoziemki”, którą zainteresował się Tadeusz Byrski. Rzecz tę umieścił w swoich planach repertuarowych łódzki Teatr Nowy. Pytanie w moją stronę:

— Czy zna pan ten teatr? Co pan o nim sądzi?

— Odpowiadam zgodnie z prawdą:

— Dobry teatr, dobry aktorzy.

I zaraz myślę: kto zagra postać Róży? To wspaniała rola, ale jakże trudna, wymagająca ogromnej kondycji fizycznej i pełnego napięcia psychicznego. Przecież Róża nie schodzi w ogóle ze sceny!

Kilka uwag o nowościach literatury polskiej. Więc przede wszystkim o „Przygodach człowieka myślącego” Marii Dąbrowskiej. Na moje stwierdzenie, że nie jest to dzieło na miarę autorki, pani Kuncewiczowa śpieszy do słowami:

— Co należy w tej książce podziwiać, jak w ogóle w Dąbrowskiej, to jej rzetelny

stosunek do życia, usilne dążenie do prawdy i zachowania godności ludzkiej.

W parę dni później państwo Kuncewiczowie powieźli nas swoim pięknym mercedesem do Janowca, gdzie resztkami dawnego zamczyńska Firlejów widać, bodaj od 1928 roku, Leon Kozłowski. Przy słonecznej, niezmaconej ani jedną chmurką pogodzie chodziliśmy po rozległym parku i patrzyliśmy na niezwykłą wrecz panoramę Wisły, na przeciwnym jej brzegu, na wieś Janowiecką i na zielone łąki nadwiślańskie, gdzie pasą się stada krów i owiec. Pejzaż jak na obrazach starych mistrzów flamandzkich. Patrząc i patrząc bez końca. Przerwane w willi kazimierzowskiej rozmowy toczą się dalej. Tym razem Maria Kuncewiczowa wspomina swoje wykłady na uniwersytecie w Chicago.

— Przez osiem lat opowiadałam Amerykanom (różnego pochodzenia) o literaturze polskiej. Widocznie nie robiłam tego źle, skoro przy bywałych słuchaczy. Dzieje literatury naszej starałam się przedstawiać na tle szerszym: historii Polski i Europy, a także szukając analogii w literaturach innych krajów. Jednak po ośmiu latach czułam się tym wszystkim zmęczona i zrezygnowałam z zajęć na chicagowskim uniwersytecie. Po mnie objął stanowisko wykładowcy Tymon Terlecki

Dodajmy od siebie, że Terlecki utracił słuchaczy, którzy pozyskała dla literatury polskiej Maria Kuncewiczowa. Kładąc cały akcent na przeszłość, nowy wykładca nie trafił do Amerykanów, którym brak było zmysłu historycznego i którzy głównie i przede wszystkim interesują się współczesnością.

Zza oceanu powracamy do spraw rodzimych, do Janowca i uroków jego pejzażu. Jak opisać to wszystko, co jest przed nami, żeby oddać w pełni świeżość naszego wrażenia?

— Co do mnie — zwierza się Maria Kuncewiczowa — piszę tak jak widzę. Nie szukam specjalnej formy i staram się nie myśleć o tzw. środkach wyrazowych.

Przypomina mi się metoda zalecana przez pewnego krytyka francuskiego: jeśli chcesz napisać, że pada deszcz, najlepiej zrobisz pisząc: pada deszcz.

Kiedy opuszczaliśmy Kazimierz, spojrzalem jeszcze raz na willę Marii i Jerzego Kuncewiczów. Stoi na wzgórzu w rozległym ogrodzie, obok świerki i wyrośnięta wierzba placząca, opadająca gałązkami na dach. Pod progiem swego domostwa gospodarze zakopali na samym początku roku budowy dwie swoje książki, żeby im się darzyło Odpukać. Darzy im się i w życiu i w twórczości.

JAN KOPROWSKI



Maria Chmielińska-Ciesielska  
Tkanina drukowana z aplikacją



DWIE POTRZEBNE  
KSIĄŻKI

Jedną z tych dwóch potrzebnych książek dopiero powstaje. Jest nią praca doktorska przebywającego od trzech lat w Związku Radzieckim aspiranta Uniwersytetu w Leningradzie Henryka Pawlika, który dokonał niesłychanie zmudnej pracy zbierając materiały do książki „Tematyka polska w literaturze radzieckiej w latach 1945—1970”. Aby dać temu zagadnieniu historyczne podstawy autor musiał również przeczytać ogromną ilość tomów, które zostały napisane w minionych wiekach. Z badań tych wynika, że w okresie post-romantyzmu niewielu było w carskiej Rosji pisarzy (nawet wśród bardzo wybitnych), którzy by o Polsce pisali zyciście i serdecznie. Henryk Pawlik wymienia kilkanaście nazwisk — na czele z Tolstojem. Również dużo późniejszy okres — dwudzieste stulecie międzywojenne — nie odznaczało się ciepłym odnotowaniem stosunków radziecko-polskich w młodej literaturze radzieckiej. Nawet w wypowiedziach najwybitniejszych pisarzy radzieckich, którzy w tym czasie odwiedzili Polskę świadectwa przyszłych, bliższych związków naszych narodów nie były częste (Majakowski). Dość często natomiast występował wedy Polak jako czarny charakter na kartach książek sensacyjnych. Warto tu chyba przypomnieć teści tomy brukowej literatury detektywnej — szpiegowskiej wydawanej w międzywojennej Polsce, gdzie człowiek radziecki występował wyłącznie w tym samym, czarnym charakterze. Wszystko to należy jednak do przeszłości. Wspólne losy wojenne, wspólna walka i coraz bliższe, bratnie związki naszych narodów nadesłały tematyce polskiej w literaturze radzieckiej zupełnie inny wymiar i kształt. W pierwszym powojennym okresie na kartach książek radzieckich, w prasie i poezji bardzo często pojawiają się bo-

hater-Polak, przedstawiciel wyzwolonego narodu, blisko i serdecznie kontaktujący się z żołnierzem Armii Czerwonej. Nieco później ukazuje się cała masa literackich świadectw wspólnej walki z hitleryzmem. Okres schematyzmu zaważył na artystycznej wartości dalszych objawów pogłębiających się więzi — przeważała wtedy nie najwyższej próby literatura reportażowa. W ostatnich latach w literaturze radzieckiej pojawił się nowy typ bohatera — polski żołnierz, który wspólnie z żołnierzem Armii Czerwonej wywalał Związek Radziecki, polski bohater czasów budowy socjalizmu, a także partner w niełatwych sytuacjach życiowych rozgrywających się między dwójgim ludźmi; tu warto wspomnieć o nie zwykłe popularnej w Związku Radzieckim sztuce „Warszawska melodia”, która opowiada o miłości polskiej dziewczyny, artystki estradowej i radzieckiego inżyniera — rozdzielonych przez zakaz zawierania małżeństw z cudzoziemcami.

O wszystkim tym można przeczytać w książce Henryka Pawlika, która niebawem zostanie wydana w Związku Radzieckim. Wydaje się, że ta książka byłaby lekturą pasjonującą również i dla polskiego czytelnika — który to wniosek traktuję jako postulat pod adresem polskich wydawnictw.

I jeszcze dwa słowa o innej potrzebnej książce. Jest nią praca doktorska Andrzeja Azarowa zatytułowana „Jerzy Lutowski i dramaturgia polska lat 1945—53”. Niezależnie od widocznej dla Polaka pewnej dziwaczności w sformułowaniu tytułu wypadła przyznać, że książka ta — zawierająca obszerną i bardzo interesującą analizę literatury dramatycznej pierwszego dziesięciolecia powojennego — jest pracą, na którą polska teatrologia do tej pory się nie zdobyła, i nią chyba też warto by zainteresować, któreś z wydawnictw.

(MAW.)

BOGDA MADEJ

## Zezem na kosmetykę

POWINNAM dostać konia z rzedem. Autor notatki w jednej z gazet obiecywał go kiedyś za informację, gdzie można kupić mleczko kosmetyczne. Odpowiadam: w Warszawie. Można tam również nabyć perłową kredkę do warg, tusz do powiek w płynie, krem lpowy „Tilia”, cienie do powiek i to wszystko, czego brak w kosmetycznych sklepach w Łodzi. Kto wie, czy zamiast

tracić czas i nerwy w poszukiwaniu owych artykułów, nielepiej wsiąść w pociąg i w Warszawie kupić sobie zapas kosmetyków na pół roku. A przy okazji także papier toaletowy.

Skargi, listy i artykuły na temat nie najlepszego zaopatrzenia łódzkich sklepów z kosmetykami powtarzają się z ustaloną regularnością. Handel z podziwu godnym uporem owe artykuły i skargi milczaco zbywa. W tej sytuacji odpowiedzi na pytanie — dlaczego łódzkie kobiety nie mogą normalnie — nie po znajomości i nie w Warszawie — kupić potrzebnych im kosmetyków postanowiłam poszukać u samych producentów. W łódzkiej „Ewie”, krakowskim „Miraculum” i warszawskiej „Urodzie”. Jeśli nie mogę dostać tego, co potrzebuję, niechże przynajmniej wiem — dlaczego.

CZTERY WARUNKI

Kiedy zgorzkniała ciotka wybrzydza na kolorowe powieki, utuszowane rzęsy i umalowane usta, to jest to jej prywatna sprawa i najwyższej jej siostrzenica ma zastrzeżenie. Gorzej, jeśli argumenty ciotki powtarzają specjalistki od naszej gospodarki, traktując tę dziedzinę przemysłu chemicznego, jako marginesową i niewartą większego starania. A tymczasem

Kosmetyka jest tak samo ważna, jak każda inna dziedzina wytwórczości przemysłowej, ważna w kraju dla milionów kobiet i ważna, jako źródło dewiz, gdyby oczywiście popatrzone na to źródło poważnie. I to we właściwym czasie. Ze jednak spojrzemy na pachnący i kolorowy towar było do tej pory raczej zezowate, odczuwają je i producenci i przede wszystkim klient.

Przyjmując pewne uproszczenia można stwierdzić, że o ilości produkowanych kosmetyków decyduje zasadniczo cztery czynniki: — zdolność produkcyjna przedsiębiorstw, rozwinięte laboratoria badawcze w poszczególnych zakładach, opakowania oraz zaopatrzenie w surowce importowane. Przy czym kolejność absolutnie nie oznacza, że czynnik czwarty jest mniej ważny niż pierwszy czy trzeci. Zaczniemy jednak dla porządku od pierwszego.

Zdolności produkcyjne polski przemysł kosmetyczny posiada. Mamy cztery potężne zakłady: „Lechicę”, „Urodę”, „Miraculum” i „Ewę” i trochę pomniejszych typu spółdzielczego, które uzupełniają produkcję gigantów.

Ale... W drugim kwartale bieżącego roku handel zamówił w łódzkiej „Ewie” 1.478.000 butelek szamponu „Taro”, fabryka mogła zaś zaoferować 245.000, czyli jak

z prostego działania matematycznego wynika, na rynku zabrakło 1.233.000 butelek. Na zamówione 4.078.500 butelek szamponu w piły nie, zakład mógł odpowiedzieć wielkością 600.000. Handel zgłosił zapotrzebowanie na 2.489.600 kałwaków mydła, o zapachu „Biały bez”, otrzymał 1.200.000. Wszystkich, którzy chcieliby w tym momencie zgłosić pretensję pod adresem „Ewy”, namawiam do zwiedzenia fabryki, do przejścia ciasnymi korytarzami, zawałonymi stertami opakowań, do obejrzenia podwórka, które musi zastąpić magazyn, do zapoznania się z prawie chałupniczymi warunkami pracy w ciasnych, starych murach. W takich samych starych murach pracują i inne zakłady, bo i „Miraculum” odziedziczyło budynki po dr Lustrze, a „Uroda” po Pulsie. Wprawdzie w Krakowie produkcja kosmetyków — a 50 proc. wyrobów „Miraculum” to najbardziej interesujące kobiety środki do makijażu twarzy — wzrasta imponującymi, 25-procentowymi skokami — ale i ta fabryka nie ma w tej chwili przestrzennych możliwości rozwojowych i na inwestycje z prawdziwego zdarzenia musi poczekać do końca przyszłej pięcioletki. A „Miraculum” miłe panie, wytwarza między innymi znakomite cienie do powiek, matowe i perłowe, w ele-

ganckich czarno-białych kasetkach, zawierających trzy kolory i to wszystko tylko za 60 złotych. A która z pań ma taką kasetkę?

TRUDNA DROGA NOWOŚCI

Droga zaczyna się w fabrycznym laboratorium, gdzie rodzą się wszystkie nowe kosmetyki. Zdałoby się więc, że jeśli nawet warunki produkcji w fabryce nie są najlepsze, to przynajmniej laboratorium powinno mieć dobre warunki. A tymczasem Zjednoczenie Chemii Gospodarczej „Pollena” może się pochwalić tylko jednym laboratorium o prawie idealnych warunkach pracy, które posiada „Uroda”. Jeśli mimo tego „Miraculum” dostarcza w ciągu roku od 6 do 8 nowych rodzajów kosmetyków, jeśli podobnie radzi sobie „Ewa”, to dzieje się to dzięki umiejętności przystosowania się pracowników do niełatwych warunków. Z czego nie należy wyciągać wniosków, że można ich w tych warunkach zostawić.

Laboratorium fabryczne wbrew pozorom, zajmuje na trudnej drodze nowości niewielki odcinek. Cała reszta to przede wszystkim żmudne i długotrwałe badanie medyczne i praktyczne w klinikach dermatologicznych i Zjednoczeniu „Pollena”. Badania takie są na pewno potrzebne i można się zgo-



**URBANISTYCZNY** gigant, ośmiomilionowe miasto — Wielki Londyn jest trzecim w świecie co do wielkości (po Nowym Jorku i Tokio) centrum miejskim. Jest też największym ośrodkiem przemysłowym Wielkiej Brytanii i trzecim pod względem wielkości przeladunkowym portem świata. W tym olbrzymim, niezwykle ruchliwym centrum wielkomiejskim, każdego dnia kilka milionów ludzi musi pokonać odległość do 40 kilometrów, by dostać się do pracy i drugie tyle — by wrócić do domu. W tej sytuacji jednym z podstawowych problemów miasta jest komunikacja. Przy olbrzymim ruchu samochodowym tramwaje stały się anachronizmem, hamującym ruch uliczny. Zniknęły z ulic Londynu po II wojnie światowej. Zastąpiły je autobusy i trolejbusy, ale przede wszystkim rozległa, znakomicie funkcjonująca, 500-kilometrowa sieć kolei podziemnej. Przeszło stulecie londyńskie metro przewozi dziennie miliony ludzi. Kiedy pewnego dnia nastąpiła na jednej z linii awaria — ludzie byli bardziej zdziwieni, niż zniecierpliwieni.

Osiem milionów mieszkańców, to liczba oficjalna. Anglicy nie wymagają od przybyszów meldowania się, liczba turystów przebywających aktualnie w mieście jest więc nie zarejestrowana. Podejrzewam, że w ciągu sezonu letniego osiąga ona następne parę milionów, żeby przekonać się o ilości turystów, nie trzeba chodzić do miejsc tradycyjnie przez nich zwiedzanych, wystarczy wyjść na jedną z centralnych ulic miasta. Bardzo mnie bawił fakt, że co chwila byłam zaczepiana przez cudzoziemców pytających o drogę do tego czy innego obiektu. Brak wiadomości starałam się nadrobić uprzejmością i kiedy dwóch młodych ludzi zapytało mnie o drogę do Hyde Parku, powiedziałam im, że blisko jest Buckingham Palace, który również warto zobaczyć.

Anglicy przyjmują ten do pułk turystyczny z ściągniętą angielską cierpliwością. Tłum macza dokładnie i uprzejmie, czasem stosując metodę sztafety, to znaczy przekazuje z rąk rąk cudzoziemca przechodniom, którzy idą we wskazanym kierunku, aż wreszcie doprowadzą „foreignera” do miejsca o które pytali.

Tradycyjne miejsce zabytków, których „nie wypada nie zwiedzić” jeśli się jest w Londynie, są latem miejscem tłumnego zlotu turystów ze wszystkich stron świata. Głównie Ameryka-

nie i Niemcy z NRF, ale na przykład w Tower of London spotkałam również grupę włoskich dzieci pod opieką zakonnicy. Choć zdawało się, że miejsce nie specjalnie stosowne dla dzieci. Słynna średniowieczna twierdza, dziś muzeum, budowana i rozbudowywana od XI do XIX wieku jest pamiątką najbardziej chyba

matycznie czy metodycznie. Młode, prawie — hippiesowskie pary snują się po salach zajęte raczej sobą niż eksponatami, całe rodziny z kilkorgiem dzieci szybkim marszem przebiegają sale, by po 20 minutach z ulgą opuścić przybytek.

Stara katedra westminsterska — Westminster Abbey, wspaniały zabytek

TERESA WOJCIECHOWSKA

## Trudne życie turysty

krwawych rozdziałów w historii Anglii. Przewodnicy, przebrani w jakieś malownicze stroje, oprowadzają po malowniczo nad Tamizą położonym terenie, opowiadając dzieje poszczególnych budynków, które były bądź siedzibą królewską, bądź więzieniem koronowanych i innych dostojnych głów, pokazują miejsce straceń — z historycznym dystansem, a nawet swoistym poczuciem humoru. I tu i w innych miejscach i sytuacjach zdumiewała mnie uczciwość Anglików w relacjonowaniu wydarzeń minionych i komentowaniu teraźniejszych — ze sporą dozą krytycyzmu i obiektywizmu. Na taki obiektywizm i samokrytycyzm może się chyba zdobyć naród bardzo dumny ze swych osiągnięć i pozycji w świecie.

Neustający tłum turystów przeciąga też przez British Museum — największe brytyjskie i jedno z największych muzeów świata z jedną z największych bibliotek świata. Na dokładne zwiedzenie trzeba by poświęcić co najmniej dwa tygodnie, pozostałe więc tylko pobieżne obejrzenie sal, wybranie jednej, szczególnie interesującej i — w przerwach na odpoczynek — obserwowanie zwiedzających. Większość z nich „zalicza” muzeum. Niewiele jest takich, którzy z planem w ręku, wybierając to co ich interesuje, zwiedzają syste-

angielskiego gotyku, jest dziś bardziej muzeum niż świątynia. Niewiele miejsca tu pozostało na uprawianie praktyk religijnych. Nieprzerwany strumień turystów przepływa od rana do wieczora, ruch regulowany jest przez straż porządkową. Niemal na środku katedry ulokowano stoisko handlujące pamiątkami — pocztówkami, albumami. Za wstęp do kaplicy Henryka VII — specjalna opłata. Grobowce innych królów, popiersia i pomniki dostojników angielskich, bohaterów wojen — można oglądać darmo. Nawet po śmierci trudno się na tym świecie doczekać równości.

Dokoła ogrodzenia Buckingham Palace zawsze pełno gapiów. Nadziewa na uka zanie się królowej, oczywiście znikoma, ale zmiana warty jest widowiskiem równie atrakcyjnym. Powaga z jaką celebryta te ceremonie malowniczo ubrani grenadierzy Jej Królewskiej Mości budzą nieustanny zachwyt gapiów z zagranicy, którzy nigdy czegoś podobnego nie widzieli i zapewne nigdy nie zobaczą. Monarchia jest chyba największym dziś teatrem na Wyspach Brytyjskich. Największym i najdroższym, najbardziej deficytowym. Brytyjczycy z troską obliczają ile monarchia kosztuje. Oni sami nie śmieiliby, ale inni członkowie Wspólnoty Brytyjskiej napomykają, że mo-

narchia długo już chyba nie potrwa. Anglicy zaś podkreślają wszędzie, że król panuje, lecz nie rządzi („The King reigns but doesn't rule”). Rządzą parlament, władza jest demokratyczna. Ponieważ nie mam żadnego wpływu na ustrój w Zjednoczonym Królestwie, mogę spokojnie wyrazić swoją opinię, że Wielka Brytania straciłaby wiele uroku, gdyby pozbawiono ją całego tego ceremoniału, wzruszająco anachronicznego, na tle najnowocześniejszej techniki, szalonego tempa życia, ślicznie malowniczego, jakby żywcem wyciętego ze starego albumu i przeniesionego w teraźniejszość. To przecież jedyne miejsce w cywilizowanym świecie, gdzie ściana zieleni St. James Park oddziela najnowocześniejszą najruchliwszą dzielnicę miasta — Picadilly Circus od Buckingham Palace — siedziby królewskiej, w której postępowo stał zatrzymany w miejscu.

Ulica londyńska jest ruchliwa, kolorowa i, zasmiecona, Ruchliwa, bo przeważa się przez nią nieustannie tłum przechodniów, kolorowa od mrowia hippiesów i w narodowe stroje ubranych Hindusów i Murzynów, a raczej Murzynek, kolorowa od reklam, neonów i wystaw sklepowych. Zasmiecona, bo Anglicy wcale nie są porządni, tu nie musimy wpaść w kompieks. Anglicy śmieją na chodniki, rzucają niedopałki na podłogę w pociągach, na stacjach metra. Ale też (tu możemy pozazdrościć) ulice, stacje metra, pociągi, są nieustannie sprzątane. Bardzo często olbrzymimi elektrycznymi troluksami, które polykują wszystko, opadającymi z drzew liśćmi włącznie. Tę pioną oficjalnie plagą jest tłuczenie butelek, nie, nie po alkoholu, po coca-coli.

Pomnik Nelsona, piękne położenie placu i malownicze otoczenie sprawiają, że Trafalgar Square jest miejscem ściągającym wielu turystów, szczególnie hippiesowskiej młodzieży, również zagranicznej. Kiedy jeden z młodzieńców, licząc obsadę jących krawędzie pomnika Nelsona, z fantazją potłukł butelkę po wypitej coca-coli, nagle pojawił się przed nim policjant, niewiele od niego starszy i kazał pozbierać szkło. Najpierw te większe kawałki, a potem mniejsze. Następnie kazał je wyrzucić do wskazanego przez siebie kosza. Kiedy chłopak, chcąc pokazać swoją niezależność, skierował się do innego kosza, Bob zaprotestował i jego polecenie zostało wykonane. Cała scena rozegrała się prawie w ciszy, policjant ani razu nie podniósł głosu, chłopak

opornie, ale bez słowa protestu wykonywał polecenia. W Londynie widzi się wielu bardzo młodych policjantów, przy czym wiek nie przeszkadza im wcale w utrzymaniu autorytetu władzy w społeczeństwie.

Życie cudzoziemca w Londynie nie jest łatwe. Musi przyzwyczaić się do wielu bardzo niewygodnych nowości jak klimat, lewostronny ruch uliczny i system pieniężny. Klimat jest niesympatyczny raczej — (jak lubią mówić Anglicy) z częstymi skokami ciśnienia, temperatury i niespodziewanymi opadami. Ale do tego można się przyzwyczaić. Nie mogłam natomiast przyzwyczaić się do lewostronnego ruchu. Do końca pobytu ze strachem wstępowałam na jezdnię, na jej środku zapominając, z której to strony może teraz coś nadjechać. Bardzo też ciężko przyzwyczaić się, że do autobusu wsiada się po odwrotnej niż u nas stronie ulicy. Na chodniku sprawa znacznie prostsza. Po prostu nikt nie przestrzega prawidłowego chodzenia. Cudzoziemcy, z przyzwyczajenia trzymają się prawej, miejscowi, zagonieni nie zwracają uwagi na strony, w sumie robi się wielkie zamieszanie, i słychać nieustannie, a grzeczne przeproszenie.

Wydaje mi się, że wcześniej niż monarchia, będzie ruch lewostronny. Anglicy nie podjęli decyzji w tej sprawie dotychczas zapewne ze względu na olbrzymie koszty, jakie taka zmiana musi za sobą pociągnąć. Na razie zdecydowali dorównać reszcie świata w systemie pieniężnym. Na odwrotnej stronie każdego rachunku, wydawanego przy zakupach w sklepach i magazynach, widnieje notatka, że dzień 15 lutego 1971 roku będzie dniem próby płaconia systemem dziesiętnym. Rodowici Anglicy przyjmują tę zmianę jako prawdziwy dopust boski, pytając ze zdziwieniem: a po co dzielić na dziesięć, kiedy znacznie wygodniej jest dzielić na dwadzieścia? Jeśli od dziecka dzieli się na dwadzieścia, to rzeczywiście tak jest wygodniej.

Na razie jednak angielski system pieniężny sprawia obojętność, mnóstwo kłopotów. Bo funt dzieli się na dwadzieścia szylingów, szyling na dwadzieścia pensów, do tego jeszcze istnieje gwinea, która ma dwadzieścia jeden szylingów i korona, która nie wiem co ma, bo praktycznie wyszła już z użycia. Obecnie, w związku z przejściem na system dziesiętny, wydawane są już nowe monety z podziałką dziesiętną, ale na razie trak-

owane są jako monety starego obiegu. I można z tego wszystkiego dostać całkowitego kręcka.

Na szczęście londyńscy sprzedawcy są absolutnie uczciwi i nawet nie zaświta im w głowie, że mogliby oszukać oglupiałego cudzoziemca, który nie wie czym płacić i ile mu się należy reszty. Najwygodniej więc po prostu podać portmonetkę, a kasjerka wybierze sobie odpowiednią kwotę. Przez dwa tygodnie korzystałam z tego systemu, bardzo go sobie chwalać.

Podobno Londyn jest jedyną z tańszych stolic zachodnich. Znaczący to tylko, że inne są jeszcze droższe. Piękne wystawy w centrum miasta są dla przybysza (mam na myśli oczywiście przeciętnego turystę) raczej do oglądania, z której to strony może teraz coś nadjechać. Bardzo też ciężko przyzwyczaić się, że do autobusu wsiada się po odwrotnej niż u nas stronie ulicy. Na chodniku sprawa znacznie prostsza. Po prostu nikt nie przestrzega prawidłowego chodzenia. Cudzoziemcy, z przyzwyczajenia trzymają się prawej, miejscowi, zagonieni nie zwracają uwagi na strony, w sumie robi się wielkie zamieszanie, i słychać nieustannie, a grzeczne przeproszenie.

Tak zwane życie jest w Londynie bardzo drogie. Zjadając bardzo skromny, najtańszy obiad ma się nieprzyjemne uczucie, że zjadło się parę pończoch, rajstop czy innej garderoby, nie dlatego oczywiście, że obiad ma smak rajstop, tylko że cena ta sama. Żywność jest droga, gastronomia jeszcze droższa. Nie wiem nawet ile kosztuje w Londynie „prawdziwy” obiad. Ale jest za to znakomicie rozbudowana, ogromna sieć barów samoobsługowych w rodzaju warszawskiej „Pragi”, w których pożywić się można za stosunkowo niewielką sumę. Smacznie, estetycznie, czysto, bogaty jadospis i całkiem bezalkoholowo. I podejrzewam, że również nie deficytowo. Więcej — sądząc, że ktoś z tego bardzo dobrze żyje, że nawet wiele osób dobrze z tego żyje. Żeby tak posłać do tych restauracji kilku kierowników naszych brudnych o ubogim jadłospisie i nieuprzejmej obsłudze — deficytowych restauracji — na przyszłość nie. Ale zdaje się, że nie ja pierwsza wpadłam na ten pomysł. I nie ostatnia. A szkoda.

dział na ich długotrwałość, bo przecież lepiej w końcu zbadać farbę do włosów cztery razy, niżby później miały wypaść po niej włosy. Natomiast trudno znaleźć usprawiedliwienie dla zwykłe jeszcze dłuższych poczynań różnych komisji: zatwierdzających kolejno nazwę, cenę, normę, jakość, rodzaj opakowania i jego szatę graficzną. Efekt jest taki, że praktycznie nie ma możliwości uruchomienia produkcji nowego artykułu wcześniej, niż przed upływem dwu lat. A przykładem tego jest choćby suchy szampon do włosów „Ewy”, którego recepturę dawno opracowano, a którego ciągle w sklepach nie widać.

### KTO PRZYKLEI LUSTERKO

Zezwólte patrzeć na kosmetykę najbardziej odbiło się na opakowaniach. Bo zbyt późno uświadomiono sobie u nas, że dobry kosmetyk to dopiero połowa. Uzupełnić ją trzeba funkcjonalnym, ale również atrakcyjnym opakowaniem. Na przykład „Miraculum” — producent poszukiwanych kreków perłowych do warg, mógłby tych kreków dostarczyć na rynek więcej, gdyby miał więcej oprawk. Ale oprawki musi importować. Wspomniane już cienie do powiek też nie nastarczają większych kłopotów w produkcji,

za to dużo trudniej o polistyren do wyrobu kasetek, a już prawdziwy dramat zaczyna się przy poszukiwaniu „specjalisty” od przyklejania w tychże kasetkach lusterek i następnego „specjalisty” od wyrobu pedzelków.

„Uroda” potrzebuje w ciągu doby 200.000 butelek do szamponu. Fabryka przeżyła już w tym roku niemal jednocześnie awarie w trzech hutach szkła. Nie trzeba wyjaśniać, jak to się odbiło na produkcji. Ba, zycząjny karton, a raczej jego brak może wstrzymać dostawę na rynek na przykład kremów.

W normalnych warunkach opakowania dla przemysłu kosmetycznego powinny w niezbędnych ilościach dostarczać specjalnie, do tego powołane zakłady. Ponieważ ich możliwości produkcyjne są jednak mniejsze od potrzeb, a przede wszystkim nie opłaca się im produkować tego typu drobiazów, dochodzi do kolejnego paradoksu, jak w przysłowiu: chcesz się napić piwa, kup sobie browar. Otóż w „Urodzie” trzeba było rozpocząć produkcję butli z tworzyw sztucznych, a w „Lechi” planuje się uruchomienie produkcji — najnowocześniejszej w tej chwili formy opakowania — areozoli. Uruchomiona niedawno przez Zjednoczenie Chemii Gospodarczej „Pollena” Fabryka Opakowań

Kosmetycznych w Łaskarzewie, mimo intensywnego rozwoju, może w chwili obecnej zaspokoić zapotrzebowanie na opakowania zaledwie w 40 procentach. Ponieważ nie nie wskazuje na to, żeby w ciągu najbliższych pięciu lat wiele zmieniło się na lepsze, można by rozwinąć kooperację ze spółdzielczością i rzemiosłem. Spółdzielnie woła jednak wytwarzać bardziej opłacalne produkty rękowe, a współpracę z rzemiosłem utrudniają istniejące przepisy.

I tak, choć jakość polskich kosmetyków jest w tej chwili już wysoka, czego tylko snobi nie chcą dostrzec, na rynek zachodni nieprędko będziemy mogli wejść na dobre, bo opakowania mamy być jakie. Chcąc jednak sprzedawać kosmetyki za granicą, musimy tam kupić karton na pudełko, i w dodatku, drukujemy tam na nich „pollenowe” kwiatki, bo własnej poligrafii na odpowiednim poziomie — jak wiadomo — też nie mamy.

### GDY ZATONIE WOSK

W myśl przysłowia, że nie-szczęścia chodzą parami, „Uroda” zanotowała i następna kleska. Statek, który wóził dla niej wosk, zatonał. Przypadek losowy, ale i przykład trudności wynikających z potrzeby importowania dla

przemysłu kosmetycznego niektórych surowców. Głównie barwników i kompozycji zapachów, których rodzimy przemysł produkować nie umie, a które zagraniczni dostawcy przysyłają nam niezbyt rytmicznie. Wobec konieczności ograniczenia importu, przemysł kosmetyczny stanął ostatnio przed nie byle jakim problemem — podjęcia własnej produkcji niezbędnych surowców. Sprawa to zarówno kosztowna co i długotrwała. Często w stosunku do niewielkich rozmiarów niektórych surowców importowanych, mało opłacalna. Gdyby może pomyślano o tym wcześniej...

\*\*\*

Po wizytach w pachnących fabrykach już wiem, dlaczego nie mogę kupić niektórych kosmetyków. Ale nie wiedzą o tym inne kobiety, które daremnie wypytyują o perłową krekę lub o ulubiony rodzaj kremu i cały żal kierują pod adresem handlu. Zresztą nie bez racji. Bo jeśli producentowi brak kłopotów nie mogą narzekać, to handel, znając chyba w pełni te kłopoty, powinien tak planować swoje zamówienia, tak rozdzielać towar, tak uzupełniać w magazynach jego brak i tak informować klienta, co może

oferować w zamian nieobecnego na rynku kosmetyku, żeby klient wychodził ze sklepu usatysfakcjonowany. Z przykrością jednak trzeba stwierdzić, że tak nie jest. Bo w sklepach na przedmieściach, albo nawet w małych miasteczkach długo muszą czekać na nabywcę drogie i poszukiwane gdzie indziej kosmetyki. Bo wielki hurtownik „Arged”, obok rozprawiania kosmetyków, zajmuje się dostarczaniem do sklepów innych, znacznie większych artykułów gospodarstwa domowego. Bo brak jakichkolwiek umów generalnych sprawia, że wszelkie konsekwencje wynikłe z kontaktu handel — przemysł spadają tylko na przemysł. Bo handel niechętnie i nieufnie traktuje wszelkie nowości. Bo wreszcie ekspedientka nie tylko nie orientuje się, co aktualnie produkuje polski przemysł kosmetyczny, ale i nie bardzo wie co ma we własnym sklepie i do czego to służy.

Przy okazji najbliższej delegacji do Krakowa, Warszawy lub Katowic, znów kupię sobie i znajomym zapas kosmetyków.

Podczas jednej z licznych rozmów usłyszałam zdanie: „My z łódzkimi handlowcami nigdy kłopotów nie mamy”. Ano właśnie.



# Poetyckie odwiedziny u bliskich

Trzynomowa Antologia poezji białoruskiej, wydana w Minsku w 1961 roku, zaczyna się od fragmentów z Franciszka Skaryny. I siusznie.

Kim był Skaryna? Człowiekiem, przynależnym w pełni do bujnego okresu, w którym żył i działał, czyli do renesansu. Urodził się około 1490 roku w Połocku w kupieckiej rodzinie. Ukończył uniwersytet krakowski w 1506 roku, zdał bakalaureat, potem przeniósł się do Padwy, gdzie w 1512 roku uzyskuje tytuł doktora nauk medycznych.

Od 1517 roku mieszka w Pradze, zajmuje się sztuką drukarską i przekładami, m. in. psalmów, na ówczesny język białoruski. Następnie zamieszkuje w Wilnie. Tu rozwija jeszcze żywszą działalność przekładową, ok. 1525 roku zakłada pierwszą drukarnię białoruską. Jest autorem przekładu Biblii na język białoruski oraz komentarzy do niej. A więc Skaryna to postać szczególnie wiele znacząca w dziejach kultury białoruskiej, dodajmy od razu: dziejach bardzo powikłanych.

Franciszek Skaryna umiera ok. 1541 roku.

Należy jednak pobieżnie scharakteryzować sytuację ogólną.

W tym wypadku można powołać się na Wielką literaturę powszechną. To sześciotomowe opasłe dzieło, składające się z dwóch części: z esejów o literaturach różnych narodów i z krótkich antologii, uwzględnia także literaturę białoruską. Autorem szkicu o niej jest slawista, docent Uniwersytetu Warszawskiego Józef Gołąbek (ur. 1899 — zginął od bomby w Warszawie 25. IX. 1939 roku).

Pisze znany slawista:

„Rozwój kultury białoruskiej w swoich początkach nie wykazuje odrębności, lecz stoi w ścisłym związku z rozwojem kultury Rusi. Toteż początki jego sięgają czasów przyjęcia chrześcijaństwa na Rusi przez księcia Włodzimierza w r. 988...”

„Można więc twierdzić, że przez kilka wieków piśmiennictwo białoruskie o charakterze wybitnie kościelnym należy do dorobku ogólnoruskiego i da się z niego wyodrębnić o tyle, o ile pojawiają się w dawnych zabytkach pewne właściwości mowy białoruskiej.

Zawojowanie Białorusi albo inaczey ziemi Krywiczian przez Litwinów, wówczas jeszcze pogańskich, zapewnia kulturze białoruskiej stanowisko uprzywilejowane, gdyż Białorusini przewyższali nią swoich ujarzmicieli. Toteż językiem dworu i urzędu w Wielkim Księstwie Litewskim był język białoruski, który

do w. XVII zachował to uprzywilejowane stanowisko; we wspomnianym wieku panowie litewsko-białoruscy poczuli coraz częściej mówić i pisać po polsku, a mowa białoruska pozostała i przechowała się nadal u ludu...”

Czytamy dalej:

„Po pierwszym i drugim rozbiore Polski cała Białoruś dostała się pod rządę Rosji, lecz tradycja wpływów politycznych i kulturalnych polskich utrzymała się dość długo, bo aż do upadku powstania styczniowego. W okresie od rozbiorów do r. 1864 stwierdzamy odrodzenie literatury białoruskiej, co stoi w związku z rozwojem polskiego romantyzmu. Zainteresowanie się Białorusią zaczyna się od zbiorów folklorystycznych, które wskazywały na bogatą i całkiem oryginalną kulturę ludu białoruskiego, szczególnie w pieśni i różnych obrzędach, a szczególnie w uroczystości dziadów...”

Wypada tutaj przypomnieć, że stolicą polskiego romantyzmu było Wilno, miasto kontaktów kulturalnych kilku narodów. Nic więc dziwnego, że łatwo tam było zaobserwować i twórczą dwujęzyczność. Przykładów dałoby się przytoczyć szczególnie wiele. Nie zapomnijmy zwłaszcza o przyjacielu Mickiewicza, Janie Czeczocie, częściowo autorze a częściowo wydawcy *Piosenek wieśniaczych* znan Niemna i Dźwiny.

Jedną z wybitnych w dziejach literatury białoruskiej postaci, Wincenty Dunin-Marcinkiewicz, przyjaciel Moniuszki i Syrokomli, pisał przede wszystkim po białorusku, ale i po polsku. W 1859 roku rozpoczęto w Wilnie drukowanie jego przekładu *Pana Tadeusza*, niestety, po wydrukowaniu dwóch pierwszych ksiąg władze carskie skonfiskowały nie tylko nakład, ale i rękopis.

W dorobku Syrokomli znajdziemy parę wierszy białoruskich, próbę libretta operowego.

Dwujęzyczność w twórczości to jeszcze nie wszystko. Do dziś można zaobserwować „dwunarodowość” — zresztą jest to cecha różnych pogranicznych kulturowych — w obrębie jednej i tej samej rodziny, w obrębie jednego rodzeństwa. Brat mógł czuć się na przykład Polakiem, a zaś siostra Litwiną czy Białorusinką.

Wróćmy jednak do piśmiennictwa białoruskiego. Przyglądając się jego rozwojowi i sytuacji, konkluduje Józef Gołąbek:

„...Ale od razu rozwinąć się ono nie mogło, ponieważ po upadku powstania styczniowego nastąpił na Litwie i Białorusi tak straszny ucisk, że literackie słowo białoruskie zamarło na lat trzydzieści, zwłaszcza że nastąpił surowy zakaz drukowania czegokolwiek po białorusku. Można było jedynie pisać o Białorusi, po polsku lub po rosyjsku, przy czym główną uwagę zwrócono na etnografię...”

Uzupełnijmy ten cytat dwoma uwagami. W powstaniu wziął m. in. udział późniejszy znany poeta białoruski, adwokat Franciszek Babuszewicz, wydający pod pseudonimem Macieja Buraczka swoje książki w Krakowie i w Poznaniu.

Raz zmylono carską cenzurę i wydano książkę w Minsku, ale podstępem, udało się jej bowiem wzmówić, że to książka bułgarska. Chodzi tu o książkę Janki Łuczyny-Niestucho-

uskaña (1851—1897), który zresztą pisał wiersze nie tylko po białorusku, lecz także po polsku i po rosyjsku, był też tłumaczem Syrokomli.

Oczywiście, w różnych okresach służyły Białorusinom dwa alfabety: oparty o grażdankę i oparty o łaciński.

Józef Gołąbek nie ma racji, gdy stwierdza, że „tradycja wpływów politycznych i kulturalnych polskich utrzymała się dość długo, bo aż do upadku powstania styczniowego...” Może była do tego czasu najsilniejsza, ale i później nie zanikała. Niekiedy bywało wprost przeciwnie. Dowodem tego choćby wpływy na twórczość tak wybitne

twórczości i symboliki ludowej. Dzięki nim trzeci klasyk, żyjący niestety bardzo krótko, Maksim Bahdanowicz (1891—1917) mógł słusznie o sobie napisać: „...moja twórczość dążyła przede wszystkim do poszerzenia kręgu tematów i form poezji białoruskiej...”

Kto wie, może ten młody człowiek miał w sobie coś z geniusza. Był dobrze zorientowany w poezji rosyjskiej i zachodnio-europejskiej, pisał po białorusku, ale tłumaczył siebie i swoich starszych kolegów na rosyjski, zostawił przekłady z poetów francuskich i niemieckich, uprawiał opowiadania, publicystykę, krytykę. Ten chory na gruźlicę

obojętnych i dla czytelników spoza kręgu tego języka. A przecież trzeba pamiętać i o tym, że nie można i nie wolno wyłącznie kryteriami poezji jednego języka mierzyć poezji innego języka. W każdej bowiem poezji są utwory posiadające szczególne wartości wzruszeniowe i intelektualne tylko dla czytelników danego narodu. Miłośnicy poezji polskiej, wiemy o tym aż nadto dobrze, choć nasza krytyka biegnąc zaży raczej do uniformizowania kryteriów.

Z konieczności należy dokonać przeskoku, przejdź do współczesnej poezji białoruskiej.

Stale urozmaica się poetycka percepcja świata, poezja białoruska z powodzeniem przekroczyła bariery tradycyjnych kanonów, nadal znajdując przy tym inspirację i metaforę w obiektywnie danych sobie realiach, w związkach z życiem innych narodów radzieckich. Wypowiedź poetycka, podobnie jak w pierwszych latach po rewolucji, coraz bardziej się indywidualizuje, staje się wnikliwsza i pogłębiona, dzieje się tak i w wypadku poetów, którzy — zdawałoby się — dawno siebie ukształtowali.

Mam więc na myśli zdecydowane odchylenie od deklaracyjności i taniego patosu na rzecz ostrego i rzeczowego widzenia spraw życia, problematyka niektórych utworów dotyczy nie tylko istnienia w społeczeństwie, ale i istnienia samego w sobie, egzystencji ludzkiej. Nawet wiersze pejzazowe, tak świetnie uprawiane przez licznych poetów, nabierają głębszego znaczenia, chociaż nie brakuje w licznie ukazujących się tomikach i utworów schematycznych, powielanych.

Nie miłkną nestory. Właśnie uroczysto obchodzono siedemdziesiątą rocznicę urodzin Uładimira Dubouki. Choć jubilat nie miał łatwego życia, przez wiele lat był pozbawiony możliwości drukowania, jednak jego dorobek jest i obfity i wartościowy.

Nadal występują poeci starszej generacji: Filip Piestrak, Piatruś Brouka (osobliwość fonetyki białoruskiej: „u” po samogłosce zatracza walor samogłoski, zbliża się niemal do „w”), Siarhiej Dzarhaj, Maksim Łużanin.

Najbardziej u nas znanym poetą białoruskim, którego wybór wierszy po polsku ukazał się w 1963 r., który często bywa obecny na łamach naszej prasy literackiej, jest Maksim Tank. Pierwsze książki wydał jeszcze w przedwojennym Wilnie, już wtedy zwrócił na siebie uwagę także polskiej lewicy literackiej. Momenty biograficzne w jego poezji łączą się ściśle ze wszystkim, co przeżywał i przeżywa jego naród. Ma w obfitym również ilościowo dorobku wiele „wierszy okolicznościowych”, a takie rzadko wytrzymują próbę czasu — ale mało one wpływają na ocenę całości, która jest żywa, potrafi zainteresować nie tylko białoruskiego czy rosyjskiego czytelnika. Dysponuje wyjątkowo urozmaiconymi środkami wyrazu, stale je aż dotąd wzbogacając. Stać go na wiersz liryczny, polityczny, na wiersz żartobliwy i na poemat. Przebył długą drogę, choć jest w pełni sił twórczych. Pisał w młodości:

„Wesoło-wiosnianym się śmiechem  
polepieć i radość swą głośno w świat rzucić  
szeroki,



Rys. A. Grun

go poety jak Janka Kupała, jakie wywarli Mickiewicz i zwłaszcza Kopnicka.

Sytuację białoruskiego piśmiennictwa radykalnie zmieniają dopiero rewolucyjne wydarzenia 1905 roku. W Petersburgu zaczyna działać, jak byśmy dziś powiedzieli, białoruska spółdzielnia wydawnicza. W Wilnie w 1906 roku zaczyna się ukazywać pismo *Nasza doła*, która w listopadzie t.r. zmienia nazwę na *Nasza niwa*. Odtąd znowu Wilno staje się właściwie centrum białoruskiego ruchu literackiego, a *Nasza niwa* odgrywa w tym ruchu szczególną, wyjątkową rolę.

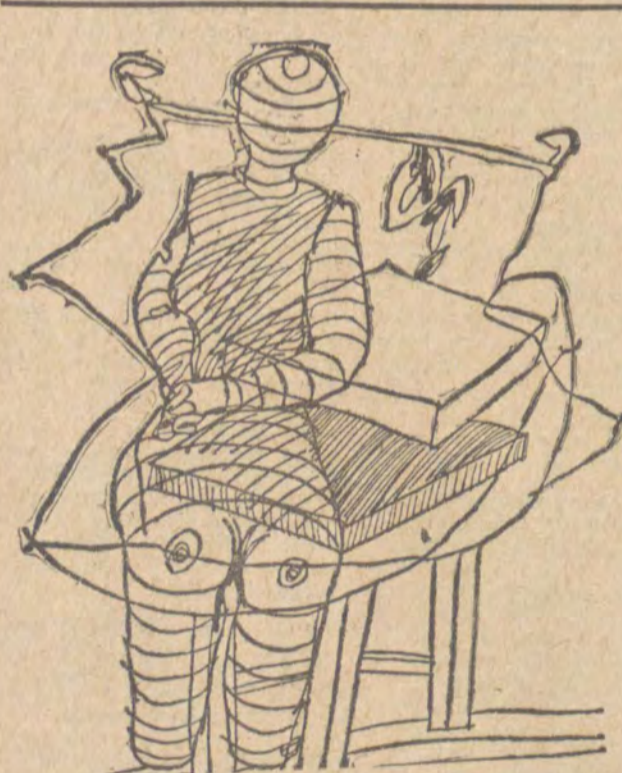
Z nią wiążą się nazwiska trzech klasyków współczesnej poezji białoruskiej. Poezja Janki Kupala-Luciewicza (1882—1942) i Jakuba Kolasy-Mickiewicza (1882—1956) była radykalna, wyrażała marzenia o dziejowej burzy, jednocześnie zaś sierniężna, rustykalna, ich wyobraźnia czerpała z życia chłopskiego, z

człowiek był obecny niemal we wszystkich przejawach współczesnej mu kultury białoruskiej, a jeszcze w dodatku sięgał w przeszłość.

Osobiście zapewne nieszczęśliwy, pracował z niezwykłą pasją. Romantyk? Romantyk. Modernista? Modernista. Poeta społeczno-polityczny? Jak najbardziej. Świadomy sytuacji w literaturze białoruskiej, chce wszystko odrobić, wiele rzeczy zacząć. Tworzy filozofię poezji i sztuki, jej niektóre założenia nie straciły na aktualności. (Takie np. utwory: „Krytykowi”, „List”, „Apokryf”, „Opowieść o Ikonniku i złotniku”).

Mimo cechującej go skromności, czasem przewiduje wartość swego piarstwa, swoje znaczenie, jak w wierszu bez tytułu: „Ciche są wszystkie me pieśni...”

W jego dorobku poetyckim, odznaczającym się swoistą filozofią życia (cykle: „Madonny”, „Miłość i śmierć”) nie ma właściwie stron



Rys. E. Inglot

## MAKSIM BAHDANOWICZ

★ ★ ★

Ciche są wszystkie me pieśni, ciemne, jak węgiel  
czarne,  
Lecz kiedyś przecież zaświecą: ogniem męki,  
cierpieniem  
Rozżarzę je, rozplomienie.  
Gdy ogień wygaśnie, błysną niby z diamentów  
ziarnem,  
Bo się przemienią, stęgnące, w drogiecenne kamienie,  
W czasie, gdy gryźć będę ziemię.

## ALENA RUCKAJA

★ ★ ★

Wszystko od razu się odmieniło.  
Aż po niebios błękitny skraj.  
Idę za wiosną w ślad,  
Za wołaniem, które przyniósł maj  
Ach, wiosno! Zgadnąć nie mogę  
Kto i skąd na spotkanie mnie zwie.  
Szepnęłaś, że trzeba się spotkać,  
Lecz nie powiedziałaś — gdzie?

## WOLHA IPATAWA

★ ★ ★

Jak ty kłujesz, słowo „sierota”!  
Nie utrzymać w ręku pieroga.  
Niby kamień lećsz przez wrota  
Żeby spaść u samego proga.  
Biegna dzieci do domu, gwarząc,  
Gdy je władczy wzywa głos matki.  
A ja z wtulona w przyzbę twarzą  
I znów, i znów szlocham ukradkiem.

## JAUGENIA JANISZCZYC

★ ★ ★

Będzie radość i tęsknota.  
Będą wiosny nad ruczajem.  
Kaźda gdzieś przekwitnie w lesie,  
Skrzyje się za sinym gajem.  
I przy świerków śpiewnym wtórze  
Rozkołysze się dzwon lata.  
Ani wiosna, ani zima  
Tylko ja się nie powtórzę.  
Ile dumań, ile zwątpień!  
Jasny szlak niech na mnie czeka.  
Jutro będzie siny wyraj  
I widnokrag się rozstąpi.  
Lato przyjdzie, beda burze,  
Po nich tęcza się rozwinie.  
Tylko ja się nie powtórzę  
Ani w lecie, ani w zimie.

Przeł. Jan Huszcza



Gdy sam masz tych wiosen zaledwie  
dwadzieścia,  
A w sercu gorące wiśniowe ich  
soki...

(PRZEŁ. K. A. JAWORSKI)

I pisał nie tak znowu dawno:  
...drzwi  
na zawiasach pieśni świeższa  
zostały za mną;  
dach  
pokryły skrzydłami jaskółek  
został za mną;  
jako że się nie obejrzeć,  
choćbym nawet miał się  
zamienić w stęp soli?

(PRZEŁ. K. A. JAWORSKI)

A jednak ta bogata problemowo i stylistycznie poezja jest jedną całością. Tank nigdy nie przestaje być sobą, łatwo jest rozpoznawalną zarówno w utworze żartobliwym, bliskim żartowi ludowemu, jak w wierszu lirycznym i w próbach epickich. W jego twórczości znajdujemy wiele poloników.

Młodszy o kilka lat Pimen Panczenka należy również do czołówek współczesnej poezji białoruskiej. W czasach, gdy poeci rzadziej ujmują przeżywanie świata, ale uświadamianie sobie świata — właśnie poeci starsi mają więcej do powiedzenia, rozwijają się. W styczniu tego roku ogłosił Panczenka w miesięczniku literackim „Polymia” („Plomien”) kilka wierszy z nowej książki, zaskakują one nowym, pogłębionym stosunkiem do wielu ważnych spraw współczesnych, urozmaicheniem środków wyrazu. Wśród tych wierszy znalazł się i piękny liryk, poświęcony występom zespołu „Śląsk” — liryk wzbogacony o akcenty polityczne, nawiązujący do znanej prowokacji hitlerowskiej w Gliwicach: „Bo tam w krwi i dymie nasze wspólne z wami zaczęło się nieszczęście...”

Owocnie pracują — wymieniam jedynie przykładowo — tacy poeci, jak: Aleksiej Rusiecki, szczególnie znany Arkadz Kulaszou, z upodobaniem uprawiający poematy; Michał Kalaczyński, Aleś Bazyła, Miłkoła Auramczyk, Anatol Wialugin, Jeudakija Łoś.

Liczni urodzeni lirycy nie stronią od twórczości dla dzieci, od tekstów piosenekarskich, co wychodzi na dobre tym rodzajom twórczości, a co u nas stało się przeważnie domeną „profesjonalistów”, często bardzo złego chowu.

Jeśli chodzi o poetów młodszych, muszę się przyznać, że szczególnie zaprapował mnie Ryhor Baradulin, ur. w 1935 roku, a zwłaszcza jego tom Adam i Ewa. Wyróżnia się cełnością, a niekiedy wprost drapieżnością metafory, sugestywną szorstkością. Nie unika tematyki drażliwej: społecznej (jak w poemacie „Kulina”) i osobistej, jak w wierszu o... kociokwiku. Elementy liryczne umieją łączyć z satyrycznymi. Niektóre utwory wyglądają graficznie przypominają „schołki” Maja-kowskiego, nie bardzo jednak można mówić o zależności, raczej o podobnym rozmachu obywatelskim i artystycznym.

Odrębną, łatwo zauważalną indywidualność tworzą reprezentacje Anatol Wiareński. Dochodzi w niektórych jego wierszach do głosu sprawa osoby, egzystencji ludzkiej pojętej jako dramat. Cechuje to bo-

gactwo prób formalnych, zyskałyby one jednak przy większej trosce poety o zwięzłość. On też należy do tych, których lirykę wyróżniają inkrustacje satyryczne lub liryczne dowcipy. I w jego twórczości życie jest czymś bardzo skomplikowanym.

Chciałoby się jeszcze wymienić takich poetów, jak Władimir Karatkiwicz, Sciapan Haurusiu, Henadz Buraukin, Nił Hilewicz, Wasil Zujonak, Aleg Łojka. Ten ostatni uprawia także literaturoznawstwo, szczególnie interesuje go folklor białoruski w twórczości Mickiewicza. Są to poeci o szerokich horyzontach.

W dorobku Danuty Biczal-Zahnietawy (ur. w 1938 roku) urzekają zwłaszcza miniaturowe erotyki. W tym sensie dąłoby się ją nazwać młodszą krewniaczką Jasnorskiej-Pawlikowskiej.

Nie tutaj miejsce na szczegółowe omawianie wielkich ludzkich i materialnych strat Białorusinów w czasie wojny, zresztą ono znane. Tutaj jednak wypada przypomnieć, iż na froncie i w partyzantce poległo wielu pisarzy i poetów. Wśród nich znalazł się m. in. delikatny liryk Alaksiej Korszak (1920—1944), który dla piszącego te słowa wydawał się być kimś szczególnie utalentowanym.

Oczywiście, temat wojny w różnych wersjach powraca wciąż w wierszach i starszych i najmłodszych poetów.

Wymieniłem zaledwie kilkanaście nazwisk, bo na to tylko pozwala artykuł informacyjny, a więc należy podkreślić, że również dobrze niektóre z wymienionych dałoby się zastąpić innymi, coraz bogatsza bowiem jest poezja Białorusi, aczkolwiek klasycy jej współczesnej poezji wystąpili stosunkowo późno, bo dopiero na początku naszego wieku.

Rzecz znamienna: debiutanci, choć mają liczne przykłady wiersza wolnego z przeszłości i teraźniejszości, zaczynają, w przeciwieństwie do naszych, raczej od tradycyjnych form wypowiedzi, nie siląc się na pseudointelektualizm, właściwsza ich młodości jest afirmacja życia, niż tak przez Juliana Przybosa wyszydzany desperacjonizm. Może to pewniejsza droga do rozwoju? A debiutantów, występujących początkowo w pismach i almanachach, z roku na rok przybywa. Cechuje ich właśnie sensualizm i emocja zamiast pozornej głębi, zamiast zapożyżonej, nie nabytej jeszcze przez życie doświadczenia, refleksji. Oni, niewiele było pór kobiecych w poezji białoruskiej, obecnie coraz więcej kobiet i dziewcząt zabiera głos. Są to przeważnie studentki, pochodzące z różnych zakątków kraju. Wymieńmy — znowu tylko dla przykładu — parę nazwisk: Wolha Ipatawa, Wiera Wiarba, Alena Ruckaja, Jaugenia Janiszczyc.

Na zakończenie tego pobieżnego przeglądu wypada dodać, iż w roku przyszłym ma się ukazać nakł. Wydawnictwa Łódzkiego pierwsza antologia dwudziestowiecznej poezji białoruskiej po polsku.

\* Wielka literatura powszechna pod red. Stanisława Lana. Nakł. księgarni Trzaski, Ewerta i Michalskie go. Warszawa 1933.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

## Spowiedź dziecięcia wieku

### czy gest sceniczny?

Utrzymany w konwencji sentymen talnej rysunek na okładce przedstawia idylliczną scenę dwojga zakochanych. Na ostatniej stronie okładki widnieje z kolei lutka i pióro na tle wieńca (z laurowym zapewne nie mającym nie wspólnego). Te konwencjonalne, aczkolwiek oryginalne na tle współczesnej ilustracji książkowej, okładki zamykają zbiór wierszy zatytułowany „Sentymenty”<sup>\*)</sup>. Rodzi się pytanie: „Sentymenty, owszem, ale do czego?” Zaczynamy od cyklu tytułowego.

Wydawać by się mogło przy pierwszej lekturze pierwszych dwóch wierszy, że autor poświęcił je sytuacji poety i jego roli w społeczeństwie. Okazuje się to czystym złudzeniem, bo cóż nam mówić strofa:

wiedzą poeci jak o rzeczy  
sądzić  
gdy kamień z rybą przeciw  
ptakom waży  
minister trele najcieńsze wy-  
śpiewa  
Platon potrząśnie napełnio-  
ną kabką

Niesamowite zagęszczenie archetypów (kamień, ryba, ptak, minister i Platon). Werset drugi jest tak wieloznaczny, że kompletnie traci na czytelność, tym bardziej że następuje wcale go nie wyjaśniają. Można posądzić autora o spotęganie kamuflażu (Platon kojarzy się tu z powiedzeniem: „Poetów przepędzić z republiki”) — ale cóż ma do rzeczy jego syty żółdak? I chociaż istnieją możliwości interpretacyjne poszczególnych wersów, to nie sposób znaleźć ciągu logicznego dla całości. Zresztą nie-spójność i chaos, nieścisłość pojęć oraz brak określonej, konsekwentnej postawy charakterystyzują większość wierszy zawartych w tym tomie. Mimo poważnych niedociągnięć, które zaciążyły na obnieniu ciężaru gatunkowego „Sentymentów” nie można od mówić Mirosławowi Kuźniakowi

kowi pewnych zamierzeń poznawczych, podbudowanych socjopsychologicznymi oraz estetycznymi motywami. Zamierzeniem młodego poety było ukazać dramata pokolenia malejącej stabilizacji, pokolenia oscylującego między romantyzmem a pozytywizmem. Sądzę najbardziej interesującym cyklem w tym tomie jest „Kordian związany”, który więcej tłumaczy tytuł aniżeli sam cykl tytułowy. Kuźniak zdradza tu swoje sentymenty, tęsknoty charakterystyczne nie tylko dla niego, ale dla całego jego pokolenia. Jest to pewnego rodzaju „spowiedź dziecięcia wieku”, które skarży się, że jest „zbyt duża odległość mówcy od przedmiotu”, że chce wielkiego czynu, drzemie zaledwie w pokładach podświadomości. To już tylko może obracać się w sferze naszych marzeń, poeta wskazuje na rzeczywistość determinującą gest i słowo poety. Kordian nie może być nawet w pełni sobą (nie mówiąc już o jego ambicjach i cechach), już nie jego czyni, ale i myśli są oszczone. Schodzi w głąb własnego „Ja”; postawa romantyczna (lecz nie obywatelska) znajduje się na pozycjach przegranych. Cykl ów, pomimo patetycznego tonu i retorycznych zwrotów, będących świadomymi zabiegami stylizacyjnymi jest autentyczny w swym wyrazie i jest poetycką relacją ze stanu świadomości politycznej „związanych Kordianów”.

Przyznać również trzeba Kuźniakowi sprawność w operowaniu środkami artystycznymi wyrazu, jak również dużą swobodą w przechodzeniu z jednej w drugą formę. Jest to raczej wyjątkiem wśród młodych poetów. Jednak i w tym momencie rodzi się nowe zastrzeżenie. Umiejętności warsztatowe w „Sentymentach” okazują się tak doskonałe, że nie sposób odróżnić, co jest stylizacją, a co własnym głosem poety. Szczególnie widoczne są wpływy poetyki Ernsta Brylla. Daje się

także dostrzec podobieństwo nie tylko w sferze formalnej, ale i treściowej (odwoływanie się do mitów narodowych, samacka ironia). Czytelnika zwiędzi może przede wszystkim kokieteria językowa. Jej zykowy ornament jest tu bo gatzky od tego, co ma zdołać. Wstępne zauroczenie językiem okazuje się pienne, gdy sięgnie się po walory treściowe.

Kuźniak debiutował w 1968 roku tomikiem „Portrety”, który niósł ze sobą cicha odległych poetek, stanowił niezbyt zręczny splót baśniowości z rzeczywistością. Podobnie jak i w „Sentymentach” w debiutanckim zbiorze poeta maskował własne „ja”. Drugi zbiór wierszy Kuźniaka wskazuje, że poeta nie wyleczył się jeszcze z dziecięcej choroby poezji — przeladownia metaforycznego, z przesadnej wieloznaczności, która prowadzi do niekomunikatywności tekstu oraz do tego, że realia stają się nieuchwytna. Najcenniejsza w poezji Kuźniaka jest historiozofia, której pierwsze ślady pojawiły się w „Portretach”. Można wprawdzie przypisać jej piętno „artystostwa”, literackości, którego czas najwyższy, żeby się autor pozbył.

Poeta prowadzony nadzwyczaj wyczulonym słuchem (metrum doskonałe) daje się uwodzić własnym słowem. Dzieje się tak w wierszach: „ot sentymenty co nam oko kraszą”, „wiedzą poeci”, „będę przychodził do ciebie” i w wielu innych, gdzie słowa dyktują treść, zamiast odwrotnie. Następuje tu istotne nieporozumienie: technika nadrealistyczna służy do zapisu tekstu, mającego transponować treści polityczne, psychologiczne, historiozoficzne itp. W przyszłości autor powinien tego się wystrzeżać, gdyż w przeciwnym razie nie osiągnie jego poezja zamierzonego skutku. Zupełnie chybnym wydaje się cały cykl „Budzik”, w którym uogólnienia nie mają żadnego realnego pokrycia. Elementy fantastyczne, pogańska wizja (nie wiadomo czego) są tu jednocześnie ornamentem, niestety okazującym się również i treścią. W tej sytuacji trudno jest wydać sąd wartościujący tę poezję. Warto jednak ostrzec tego zdolnego, aczkolwiek błędzącego jeszcze poetę, jego własnymi słowami:

Tak wiele oszukiwaliśmy  
aż utwierdził się w konieczności  
oszukiwania samych siebie

Z tradycją noszenia masek  
warto jak najszybciej się pożegnać.

<sup>\*)</sup> Mirosław Kuźniak, Sentymenty. Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1970, s. 63.

## Przeszłość i teraźniejszość

Tak się jakoś składa, że pisanie pamiętników bardzo rzadko parają się dziś ludzie, którym dane było odegrać pierwszoplanową rolę w dziejach. Z wielkiej trójki z czasów ostatniej wojny jedynie Winston Churchill spisał swoje wspomnienia — nie pozostawili pamiętników ani Stalin, ani Roosevelt. Cenne wspomnienia dyplomatów, marszałków i generałów z różnych państw nie zastąpią niestety nie napisanych wspomnień osób, które dzierżyły w swoich rękach ster polityki światowej w latach II wojny.

Powszechna ciekawość poznania motywu, kierujących decyzjami głównych aktorów dziejów współczesnych, ma swoje głębokie uzasadnienie psychologiczne. Czytelnik pamiętnika konfrontując przedstawiony w nim pogląd rzeczywistości z własnym, stawia się w sytuacji jakby współaktora dziejów; rozważając, czy na miejscu autora zrobiłby tak, czy inaczej, prowadzi w swo-

im umyśle własną grę polityczną, podejmuje niepodjęte decyzje, słowem — rekompensuje sobie niejako swoją niemoc wobec największych wydarzeń i decyzji, które zaważyły przecież również i na jego losach.

Carl J. Burckhardt, autor „MOJEJ MISJI W GDAŃSKU 1937 — 1939” (Pax, 1970), jako ostatni Wysoki Komisarz Ligi Narodów w Wolnym Mieście nie należał na pewno do głównych aktorów tamtych lat. Nie ulega jednak wątpliwości, że ten spokojny dyplomata i historyk szwajcarski, któremu wiosną 1937 roku wypadło objąć gdańską placówkę, otarł się blisko o największe konflikty swoich czasów i choć niewielki, dorucił jednak swoją własną, osobistą cegiełkę do wydarzeń poprzedzających bezpośrednio wybuch II Wojny Światowej. Wówczas, kiedy za zgodą Warszawy i Berlina przybywał do Gdańska, nie był postacią całkowicie nieznaną. Wszak on to w

1935 roku przeprowadził z ramienia Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża w Genewie inspekcję hitlerowskich obozów koncentracyjnych, nie dając się zwieść matactwom niemieckim, skutecznie potrafił łą-

## Z perspektywy Wolnego Miasta

czyć wysiłki przyjęcia z pomocą więźniom z utrzymaniem przynajmniej poprawnych stosunków z kierownictwem III Rzeszy. Jego to właśnie udziałem było wydostanie z obozu laureata pokojowej nagrody Nobla Carla von Ossietzky'ego.

Prof. C. J. Burckhardt był typowym burżuazyjnym liberałem, dla którego zasady hitleryzmu były czymś nieodparcie odrażającym. Był jednakże i typowym dypl-

matą swoich czasów, to jest człowiekiem, który nie dostrzegał, że świat tradycyjnej dyplomacji ma się ku końcowi, który łudził się, że na drodze pertraktacji, nacisków dyplomatycznych, ukłonnów, zdola odwrócić bieg

dziejów, ugłaskać niebezpiecznego przeciwnika. Po latach zdaje sobie sprawę, że były to także często złudzenia. „Chciałem wówczas wytrwać na moim stanowisku do końca — pisze w wstępie pamiętnika — nie dlatego, żebym sądził, że mogę „odegrać jakąś rolę”, ale dlatego, że choć zakres mojej działalności był ograniczony, a środki, jakimi rozporządzałem, nieskuteczne, do ostatniej chwili miałem

nadzieję, że uda mi się wypełnić do końca misję, której się podjąłem, jeżeli będę wywierał odpowiedni wpływ na ludzi stojących wówczas u steru władzy i jeśli będę zachowywał jak najdalej idącą ostrożność w obliczu najmniejszych chociażby możliwości wybuchu lokalnego konfliktu. Uważałem, że głównym moim zadaniem jest mediacja, jest najpełniejsze informowanie o wzrastającym niebezpieczeństwie, oraz nieustanne przypomina nie, że człowieka, który był centralną postacią rozgrywających się wówczas wydarzeń, tylko zdecydowana i nie pozostawiająca żadnych wątpliwości postawa wielkich mocarstw może otrzaskać z chorobliwych złudzeń, uciąć podsycających przez różne kreatury”.

Jak wiadomo, z tą solidarną postawą mocarstw było zgoda inaczej niżby sobie życzył prof. Burckhardt, podobnie jak z owym otrząśnięciem się ze złudzeń...

Bodaj lepiej, niż inni dyplomaci zachodni, poznał prof. Burckhardt Polaków i chyba lepiej ich zrozumiał. Rozumiął, że w odniesieniu do Polski nie może się pow-

tórzyć Czechosłowacja. Nie akceptował polityki Becka, choć miał jakieś nadzieje na możliwość uniknięcia konfliktu kosztem ustępstw ze strony polskiej, na które głośno lub po cichu wciąż liczone w kręgach dyplomatycznych na Zachodzie. Ale gdy Ribbentrop rzekł mu, że „Polacy tak samo nie ruszą się, jak Czesi” Buckhardt odpowiedział: „Na pewno się ruszą. Czesi kierują się rozsądnym utilitaryzmem, Polacy są odważni, nie boją się samego diabła, to jedyny naród w Europie, który jest dziś tak nieszczęśliwy, że chciałby walczyć. Dla Polaków najwyższym dobrem jest honor, oni nie liczą i nie wają. Oczywiście, jest pan Beck, ale jest także armia i opinia publiczna, wybuchowa jak proch”.

Człowiek dobrej woli — tak można by określić rolę prof. Burckhardta w Gdańsku — który mógł sprawić niewiele, ale który sprawił się wedle skromnych możliwości tak właśnie, jak się tego należało spodziewać. Nie było to tam i wtedy ma-  
to.

JÓZEF GRZELAK



## O rysunkach Janusza Wiktorowskiego

Wiktorowski ma zwyczaj opatrzenia swoich rysunków podpisami, tytułami, długimi komentarzami, opisami, słowem — legenda. Bo wszystkie te teksty nanoszone na marginesy zarysowanych kartonów spełniają rolę podobną do tej, jaką spełnia legenda na mapie. Dziwi to trochę kiedy oglądamy jeden, dwa rysunki — ale kiedy przeglądamy całe teki ten zwyczaj staje się jaśny w swoim zamyśle, celowy i potrzebny. Okazuje się niebawem, że w tekach mieści się nie tylko dzieło plastyczne ale przede wszystkim intymny pamiętnik artysty. Teksty towarzyszące rysunkom nie odnoszą się do spraw technicznych, warsztatowych, ani nie starają się budować jakiejś osobnej teorii sztuki. To komentarze odnoszące się do treści rysunku, organicznie związane z formą i celowo wkomponowane w rysunek.

Jeden z rysunków Janusza Wiktorowskiego nosi tytuł „Nowy Don Kichot”. Na pierwszym planie, wychudła ascetyczna twarz okolona rzadziutkim zarostem zwrócony do widza leży na brzuchu „rycerz smętnego oblicza” — nagi, jedynie w cyrulikowskiej misce na głowie, wypina kościsty tyłek na horyzontem wieżącym wiatrak... Nie ma Rosynanta, nie ma wiernego Sancha Panchy, nie ma kopii... Jest beczyność, abnegacja i obojętność. Tylko wiatrak za horyzontem wiele, wiele uparcie powietrze czapiastymi ramionami swoich skrzydeł w niezachwianej pewności, że Don Kichot nie ruszy do szczytu. Nie ma żadnej nadziei na powrót Don Kichota z zielonej trawki. To nie chwilowy odpoczynek, to emerytura. Inny rysunek opatrzone jest inskrypcją: „Prawdziwa tragedia zaczyna się wtedy kiedy jej brak” — a na rysunku opasie, wynaturzone kadłuby ludzkie leżą nieuchomo, bezwładnie. Pyski jak spod otwórka Grosza, postacie przy pominają obraz Petera Bruegla — nie ma tylko stołu i bogactwa ja dla, nie ma pieczonych gołąbków. Nie ma nic poza bezmyślną wegetacją hub ludzkich. Jeszcze inny rysunek. Postać kłęcząca, gruzłowata z łbem tępych pochylonym nisko ku ziemi dokonuje aktu samobiczowania. I podpis — „Komu to potrzebne?” Albo na innym arkuszu skrepowany człowiek nadstawia ochoczo baryczną pierś pod groty strzał wypuszczanych z niewidzialnego łuku. I tu podpis — „Problem szczęścia!”

Te rysunki wyszły spod pióra szydery. Szydery-ironisty z walterowego gatunku. Kreśliła je ręka takiego, co dzieli włos na czworo, co najchętniej widzi świat przez dziurkę od klucza, dla którego teatr zaczyna się tam, gdzie kulisy, rekwizytornie, garderoby. Kreśliła je ręka takiego, co musi na własne oczy zobaczyć jak w środku rzecz — każda wyglą-

da. Ręka człowieka mającego swoje prawdy i swoje racje, swój własny kąt widzenia i własne szkiełko.

Spotkanie z rysunkami Janusza Wiktorowskiego było dla mnie przeżyciem zaskakującym z tego prostego względu, że najwyższe ce-

ANDRZEJ GRUN

## Z pracowni łódzkich plastyków

nię sobie ten rodzaj sztuki, który obok wzruszeń estetycznych dostarcza również pożytku moim szarym komórkom. Innymi słowy ta karta sztuki, która obok problemów formalnych, warsztatowych podnosi problemy nurtujące człowieka i świata w jakim on żyje. Sztukę uwiklaną nie tylko w rozwiązywanie skomplikowanych zagadek języka, którym operuje, ale i treści jakie pragnie przekazać odbiorcy. A więc sztukę realistyczną pojmowaną szeroko, nie wykluczającą wcale abstrakcji, ale i nie preferującą koniecznie widzenia przedmiotowego, w której jedynie istnieje owa cudowna harmonia między formą a treścią, między sposobem obrazowania a ideą obrazu. Wszelkie zakłócenia tej harmonii prowadzą nieodwołalnie do degradacji artystycznego zamysłu. Przerost formy nad treścią prowadzi do bełkotu; przerost treści nad formą do szmyry albo kaznodziejstwa. Rysunki Wiktorowskiego mają w sobie tę harmonię. Robione piórkami na białych kartonach, opatrzone komentarzami — tytułami w całości są miniaturowymi traktacjami filozoficznymi — zabarwionymi często grandguignolską atmosferą. Mimo skromności użytych środków — wyposażonymi w bogactwo walorów plastycznych. Są to rysunki pośpieszne, niedbałe, nie wykończone. Są to kartki — jak powiedziałem — z pamiętnika artysty-człowieka. A jednak nieprecyzyjna kreska buduje precyzyjny obraz składający się z elementów rzeczywistych, pozblieranych skrzętnie dzieł po dnu. Wiktorowski jest bardzo oszczędny w rysunkach. Ascetyczny. Bez ozdób, plastycznych upiększeń, baroku. Na białym kartonie jest tylko to narwosowane dla zilustrowania jakiejś myśli, zdarzenia.

Wiktorowski, absolwent łódzkiej Szkoły Plastycznej dał się poznać jako autor licznych plakatów (między innymi piękny pla-

kat do „Irydiona”), filmów animowanych. Jego skomplikowana osobowość najpełniej jednak ujawnia się w rysunku. Kiedyś nakreślił postać ludzką ze sceną teatralną zamiast piersi i podpisał: „Ja nie wymyślam, ja czuję”. Te słowa i rysunek można śmiało uznać za motto twórczości Wiktorowskiego. Wyjaśniła ono wiele. Ta deklaracja — wyznaniem posłużyć się trzeba jak kluczem w rozszyfrowaniu jego twórczości. Ryciny które mogłyby być odczytane jako cyniczne czy trywialne nabierają w kontekście z owym wyznaniem innego, głębszego zna-

— tkwi w nim głęboko, organicznie. Związany jest z postaciami, które kreśli, z tymi bryłami mięsa o ogromnych, pomarszczonych dioniach, o monstrualnych, skamieniałych stopach. Z wychudzonymi szkieletami tańczącymi jak na niemieckich sztychach z czasów Grunewalda swój obłądny plas. Przyznaje się otwarcie do powinowactwa z tym gatunkiem i dlatego tym okrutniej, z tym większą bezwzględnością dokonuje na nim wiwisekcji. Ludzie nie mieszają Wiktorowskiego. Budzą w nim rozpacz i strach. „Nie znam niczego groźniejszego od człowieka” — pisze na jednym z rysunków. Don Kichot wyleguje się na trawie ogarnięty mgłą amnezji... Wiatrak wiele ramionami powietrze... Jest tylko jedno wyjście — zerwać zasłony, kostiumy, maski, spalić krzesła widowni i pokazać ten cały teatr jakim jest życie od strony kulis. Ta droga szedł Dautmier, Goya, Grosz... Idzie nią Beksiński. Wszedł na nią Wiktorowski. Nie do mnie należy ocenić jak daleko zaszedł, prorokowanie — jak daleko zajdzie. Wiem natomiast, że sztuka Wiktorowskiego przepojona jest prawdziwym humanitaryzmem, że bezkompromisowość sformułował w niej nie tylko z czułości oka ale i z wrażliwością serca.

Rysunki Wiktorowskiego winny być jak najszybciej udostępnione szerszej publiczności w formie starannie przygotowanej wystawy.

zenia, treści autentycznych. „Ja nie wymyślam — ja czuję” stanowi ognisko dramatu jaki rozgrywa się na białych kartonach za sprawą pióra i tuszu. Dramatu tym głębszego, że Wiktorowski nie wyklucza siebie ze świata swoich rysunków. Przeciwnie



Rys. J. Wiktorowski

## POLONICA

WIERZSE POLSKICH POETÓW NA BIALORUSI

Pod wspólnym tytułem „Znad brzegów Wisły” ukazały się w organie Ministerstwa Kultury i Związku Pisarzy Białorusi „Literatura i mastactwa” wiersze poetów polskich: Konstantego I. Gałczyńskiego, Jana Huszczy, Macieja Kononowicza, Jana Koprowskiego i Tadeusza Chrościelewskiego. Wiersze tłumaczył Józef Skurko, Ryhor Baradu lin, Anatol Kłyszko, Nina Maciasz i Anatol Wiarcinski. Jest to już trzecia notka na przestrzeni ostatniego miesiąca o przekładach wierszy poetów polskich (w tym głównie mieszkających w Łodzi), na język białoruski.

J.K.

W GOŚCINIE LITERATURNOJ GAZIETY

„Literaturna Gazieta”, wychodząca w Moskwie, zamieszcza w dziale satyrycznym pn. „Klub 12 krzesel” następujące materiały łódzkie: „Karuzeli”: humoreskę Wojciecha Drygasa „30 milionów”, humoreskę Adama Ochockiego „Niepo rozumienie”, rysunek studenta-debiutanta Andrzeja Stoka oraz notkę wprowadzającą, napisaną przez redakcję „Karuzeli”. Materiały łódzkie satyryków dość często pojawiają się w czasopiśmiech radzieckich, co „Odkryty” odnotowują za każdym razem.

J.K.

PISARZE ROSYJSCY W POLSCE

Na łamach tygodnika „Literaturny”, wychodzącego w Paryżu, ukazał się ostatnio artykuł Elzy Kuprianoff (autorki kilku rozpraw o poezji radzieckiej), w którym omawia ona twórczość rosyjskich poetów mniejszościowych, stale zamieszkujących w PRL. Autorka dokonuje krótkiej analizy twórczości po szczególnych poetów. Nie brak wśród nich i poetów rosyjskich z terenu Łodzi. „Les Nouvelles” wysoko ocenia dotychczasowy dorobek rosyjskiej literatury mniejszościowej oraz jej wkład w ogólnopolską kulturę narodową.

(1)

## POLONICA

KAZIMIERZ PASZKOWSKI

## Ze wspomnień wydawcy

W Polsce przedwojennej mieliśmy szereg firm wydawniczych z chlubną tradycją i zasłużonym dla kraju, było też mnóstwo kombinatorów wydawniczych, którzy na wydawnictwach różnego rodzaju chcieli się dorobić, bądź też dorabiali się majątku.

Wydawcy-kombinatorzy publikowali rozmaite senniki egipskie, broszury o wróżbach i kabałach, ksiegi „zamknięte na siedem pieczęci”, „Poradniki seksualne”, „Tajemnice życia płciowego” i tysiące innych, podobnych w treści książek i broszur.

Klasycznym typem wydawcy-kombinatora, był przed wojną w

Warszawie niejaki Szyler-Szkołnik.

Jeszcze za czasów carskich znane były jego liczne broszury i senniki wydawane początkowo w języku rosyjskim, a po pierwszej wojnie światowej, dostroił się natychmiast do potrzeb polskiego rynku wydawniczego. Ogłaszał się prawie we wszystkich dziennikach i periodykach, opłacał swe ogłoszenia za rok z góry, był jednym z najpopularniejszych ludzi w Polsce, jako wydawca, hipnotyzer, psycholog, znawca dusz ludzkich, doradca we wszystkich sprawach życiowych, jasnowidz itp. Za takiego się przynajmniej uważał.

Otrzymywał dziennie tysiące listów i przekazów pieniężnych, które ze skrytki pocztowej osobiście odbierał. Zatrudniał w swym biurze kilkanaście maszynistów, które w ustalonym szablonowym tekście odpisywały zgłaszającym się o porady klientom, przesyłając im różne „porady życiowe” w najszerszym zakresie oraz przepowiednie na każdy dzień i miesiąc urodzenia.

W roku 1923 poznałem go osobiście i byliśmy z nim w kontakcie handlowym, bo nabywał w liczniejszych ilościach niektóre wydawnictwa, które mieliśmy na składzie głównym, a które wydatka związana z nami spółka wydawni-

cza „Vita Nuova”. Właścicielami tej firmy byli: żyjący do dziś Krzysztof Radziwiłł i zmarły dr Edward Boye, znany tłumacz z języka włoskiego i hiszpańskiego.

„Vita Nuova” wydała m. in. dwie (książki P. Nasona: Owidiusza: „Ars Amandi” i „Remedia Amoris” a więc „Kunшт miłosny” i „Lekarstwa na miłość”).

Co robi Szyler-Szkołnik? Gdy podobają mu się tytuły i treść obu tych książek, zamawiał je u nas początkowo po 15—20 egzemplarzy, po czym po 50 i 100 i obie te pozycje włączył do swego katalogu. Wkrótce też bez porozumienia się z firmą „Vita Nuova”, wydał samowolnie „Lekarstwa na miłość” w nakładzie 20.000 egzemplarzy, co na owe czasy było pewnym rekordem wydawniczym, choć broszura liczyła tylko 64 strony.

Z ramienia firmy „Vita Nuova” odwiedziłem niespodziewanie Szylera-Szkołnika. Siedział w swym gabinecie i grał na maleńkiej harmonijce „Bubluczki”. Tak go zastałem. Wywiał się między nami następujący dialog:

— Firma „Vita Nuova” zgłasza do pana pretensję o samowolne wydanie „Lekarstwa na miłość” i naruszenie prawa autorskiego.

Szyler-Szkołnik zerwał się jak oparzony:

— Jakiego prawa autorskiego? Ja pokażę panu w rosyjskiej encyklopedii, kiedy zmarł ten autor!

— Tu, panie Szkołnik — powiadam mu — nie chodzi o autora, który, wiadomo, zmarł bardzo dawno temu, ale o nowy przekład dzieła z łaciny, którego dokonał profesor Jerzy Rościszewski.

— To niech ten pan Rościszewski przyjdzie do mnie, ja mam swego adwokata, to my się z nim jakoś pogodzimy.

Wiercił się po pokoju tam i sam, znać było, że się namyśla, po czym wystąpił z dodatkową propozycją. Chciał oddzielnie pogodzić się z tłumaczem, a od firmy „Vita Nuova” kupić resztę nakładu „Lekarstwa na miłość”. Wydawcy porozu mieli się z tłumaczem i po kilku rozmowach kontrahentów doszło do zgody.

Szyler-Szkołnik nabył resztę nakładu, a tłumacz otrzymał ryczałtowe honorarium w wysokości wiełu setek milionów marek polskich, bo złotego wprowadził dopiero minister Grabski w roku 1924.

W odróżnieniu od Szylera-Szkołnika, który zerwał wyłącznie na ludzką naiwność, warto tu przedstawić diametralnie odmienny, ale pozytywny typ wydawców z przysady, jakimi byli dwaj bracia Paryscy, prości chłopcy, którzy na

wiele lat przed pierwszą wojną światową wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, tam ciężkim trudem ucitali trochę gotówki i założyli pismo polskie „Ameryka-Echo”.

Ci prości ludzie na pewno myśleli o byźniesie, jaki można zrobić na wydawnictwie, ale myśleli także o swych „starokrajskich” rodakach, by szerzyć dla nich na obczyźnie polskie słowo, oświatę i kulturę. Wydawali nie tylko pismo, ale również książki i to broń Boże nie „ceglę” lecz same pewniaki, jak: Trylogia, Krzyżacy, Quo Vadis, Trędowata itp. Z literatury ojczystej przeszli na światową, wydali nawet Cervantesa „Przygody Don Kiszota z La Manczy”. A jak potrafili zareklamować iście po amerykańsku tego „Don Kiszota”, przytaczam treść tej reklamy, którą sam czytałem w ich piśmie „Ameryka-Echo”:

„Niesamowita powieść o Don Kiszocie z La Manczy, który na chudej kobyle ze swoim giermkim wyruszył w świat dla obrony stanu rycerskiego i czci niewieściej. W książce tej jest więcej humoru i śmiechu niż w 50 pismach humorystycznych całego świata, więcej zadowolenia niż po wypiciu 50 beczek piwa, więcej oszołomienia niż w 50 butelkach wina i więcej pod



# CZY ZMIERZCH EPIDEMII?

JÓZEF ŚMIAŁOWSKI

## Historia cholery

Wypadki zachorowań na cholere w Europie notowano w ostatnim półwieczu bardzo rzadko i uważane są za coś niezwykłego. Jednakże jeszcze do końca XIX wieku epidemie cholery na gruncie europejskim powtarzały się tak często, że mimo całej grozy tego zjawiska, przerażającego się niejednokrotnie z epidemii w pandemii, uważano je za coś zwykłego i powszechnego.

Postępy medycyny, podniesienie higieny społeczeństw, wykrycie przez Roberta Kocha w 1883 r. bakterii przyczynki cholery i rozpoczęcie w niedługim czasie po tym odkryciu szczepień ograniczyły zasięg i częstotliwość występowania tej groźnej epidemii.

Epidemie cholery w XIX wieku zbierały na polskich ziemiach bogate żniwo. Pieciokrotnie, w latach 1831, 1852-53, 1866, 1883 i 1892-1894, były to już nie epidemie lecz pandemie, obejmujące niemal całą Azję i Europę, a w niektórych latach, sięgające także do Ameryki i Afryki.

Pierwsza groźna epidemia cholery w Królestwie Polskim miała miejsce w czasie powstania listopadowego. Wybuchła ona jesienią 1829 roku w Indii, skąd skokami przez Bu chare, Astrachań, Moskwę, Petersburg ogarnęła całą Rosję i wraz z wojskami rosyjskimi w czasie ofensywy w lutym 1831 r. pojawiła się pod Janowem Lubelskim. Tam zanotowano pierwsze jej ognisko w obozie wojsk polskich. Warunki wojenne sprzyjały szybkiemu rozwojowi epidemii. W Łęczycy epidemia wybuchła w maju, a w Łodzi według raportu złożonego przez burmistrza miasta, Karola Tangermanna Józefowi Zawadzkiemu, komisarzowi obwodowi łęczyckiego, pierwsze jej wypadki zauważono wśród biednej ludności żydowskiej Starego Miasta w dniu 14 VII.

Epidemia cholery w 1831 r. przedostała się do Prus i Austrii i dalej na Zachód i Południe Europy. Wróciła do Królestwa Polskiego z Galicji jesienią 1836 r. Jej ogniska zanotowano 20. X. w Staszowie, a 24. XI. w Warszawie. Stosunkowo wczesna i mroźna oraz sucha zima przyczyniła się do szybkiego jej zlikwidowania.

W następnych latach notowano tylko sporadyczne wypadki. Z niespotykaną poprzednio siłą wybuchła epidemia cholery w 1848 r. Podobnie jak poprzednio rozprzestrzeniła się z Europy z obszarów Azji Środkowej. W krótkim czasie ogarnęła całą Rosję europejską i część Syberii. W Królestwie Polskim ogniska cholery pojawiły się tego roku niemal równocześnie w kilku różnych punktach.

Najgwałtowniejsza fala epidemii cholery w Królestwie Polskim miała miejsce w latach 1852-1853. Do Królestwa Polskiego została przywieziona ze Śląska, gdzie tliła się od 1849 roku. Już w styczniu 1852 roku zanotowano wypadki zachorowań na cholere na pograniczu powiatów sieradzkiego i kaliskiego. W maju zachorowali niemal wszyscy mieszkańcy Złoczewa w pow. sieradzkim. Latem tego roku chorowało już po kilkadziesiąt osób w każdym z miast okręgu łódzkiego. W czasie tej najcięższej epidemii cholery, trwającej od maja 1852 roku do kwietnia 1853 roku liczba zarejestrowanych chorych osiągnęła ogółem ponad 105 tysięcy, a liczba zmarłych dochodziła do 50 tysięcy.

Po roku 1856 choroba jak gdyby wycofała się z Europy, ale już w 1865 zaczęły naderżać niepokojące wieści o naderżającej nowej fali epidemii. Szła ona z Azji przez Konstantynopol i Balkany. W końcu lata 1866 roku pojawiła się na ziemiach polskich. W okręgu łódzkim najwcześniejszy wybuch w Łodzi, później w Sieradzu, Zduńskiej Woli, Pabianicach, Tomaszowie i pozostałych miastach.

Najczęściej epidemii przemieszczali się handlarze żydowscy, którzy nie zważając na przepisy ochronne, przemieszczali się z miejsca na miejsce, pielgrzymi, wracający z odpustów oraz pozostająca bez stałego miejsca zamieszkania ludność wyrobnicza. Na fakt ten zwracali uwagę władze administracyjne lekarze, kierujący walką z epidemią.

W latach późniejszych epidemii cholery na ziemiach polskich pojawiały się nieco rzadziej, w odstępach mniej więcej dziesięcioletnich. Podjęty

cały szereg środków zaradczych, ograniczenie swobody poruszania się w okresie epidemii, zlagodzyli nieco jej skutki.

Epidemia 1883 roku przybyła do Królestwa Polskiego nie tradycyjnym szlakiem ze wschodu, lecz z Egiptu przez Francję, Włochy i Austrię. Wybuch epidemii cholery w 1898 roku okręg łódzki „zawdzięczał” stacjonującemu przez kilka dni w Piątku oddziałowi plechoty rosyjskiej, przybyłemu tam z obszarów objętych epidemią.

Na zmniejszenie liczby zachorowań i spadek śmiertelności wpłynęła energiczniejsza działalność władz administracyjnych i służby zdrowia, rozbudowa szpitalnictwa i powstanie wzrost dyscypliny społecznej. Wprowadzenie przy najmniej siedmiodniowego okresu kwarantanny przy wyjściu z obszaru epidemii, szereg środków dezynfekujących i pełna izolacja chorych ułatwiły walkę z tą groźną chorobą i przyczyniły do zmniejszenia liczby śmiertelnych ofiar.

Jak wynika z wszystkich raportów i sprawozdań cholera największe żniwo zbierała w najbardziej ubogich środowiskach proletariatu miejskiego, w przepelnionych do granic wytrzymałości rewirach żydowskich, gdzie niejednokrotnie w jednej izbie mieszkało w anty-sanitarnych warunkach po kilka wieloosobowych rodzin i w środowisku wyrobników wiejskich.

Wielkiej śmiertelności przy epidemii cholery sprzyjał fakt, że niemal z reguły towarzyszyły jej lata klęsk nieurodzaju, w pomorów bydła i wielkiej drożyzny. Biedna ludność, która i w latach normalnych urodzajów nie dojadła, w okresach takich klęsk głodowała w pełnym tego słowa znaczeniu. Osłabiony głodem organizm nie miał więc siły na obronę przed cholera.

Te wszystkie czynniki jak i głównie fatalny stan sanitarny ówczesnych miast, brak ujęć wody pitnej, nieusuwane nieczystości, zupełny niemal brak troski ze strony państwa o zdrowie obywateli i mała jeszcze wiedza medyczna, stanowiły główne przyczyny tak wielkiej i częstej w XIX wieku epidemii cholery, zresztą nie tylko na ziemiach polskich.



## Medycyna walczy

Ostatnio wśród doniesień agencji prasowych na całym świecie wiele uwagi poświęca się epidemii cholery. Rozprzestrzenianie się choroby w krajach Bliskiego Wschodu, zanotowane przy padki zachorowań w ZSRR niepokoją wszystkich, choć chyba jeszcze nie każdy orientuje się, jakie są źródła zakażenia.

— Wiadomo, że cholera to choroba przewodu pokarmowego — mówi dyrektor Stacji San.-Epid. dr med. JERZY ZAŃSKI, czyli, żeby się nią zarazić, trzeba przecinkowca cholery połączyć z pokarmem. Bakteria ta, którą przede wszystkim niszczy wysoka temperatura i chlor, znakomicie czuje się w wodzie, gdzie może żyć tygodniami. To jest właśnie najgroźniejszy sposób rozprzestrzeniania się tej choroby, najczęstszy w krajach o niskim poziomie sanitarnym. W ten sposób powstają gwałtowne wybuchy dużej liczby przypadków zachorowań, czyli tzw. epidemie. Drugi sposób to zakażenie powstałe w wyniku kontaktu z osobami chorymi, albo z nosicielami choroby. Kontakt może być bezpośredni lub pośredni przez zakażone przez nosiciela przedmioty, a przede wszystkim przez zakażone przez niego artykuły spożywcze. Specyficznym pośrednikiem są muchy, które siadając na kale, przenoszą zarazki na łapkach i odwłoku.

— Wyjaśnijmy może pojęcie „nosiciel choroby”. Zachodzi tu sytuacja podobna, jak w wypadku nosicieli duru brzusznego. Otóż istnieją osoby, które są jak gdyby „chodzącymi fabrykami zarazków”. Bakterie, które w sobie noszą, są zbyt słabe, aby nosiciel mógł zachorować, ale jednocześnie na tyle silne, że organizm zwalczy ich nie może. Ludzie ci są pozornie zdrowi, jednakże wydają z siebie zarazki. Poza tym istnieją nosicielstwo po przebyciu choroby u zdrowieńca. Może ono trwać również 2 i 3 lata.

— Jak długo człowiek zaraził cholera przedstawia groźbę dla otoczenia?

— Przy objawach cholery typowej, ostrej, chory przestaje być wydalacz zarazki po upływie około 2-3 tygodni. Natomiast w przypadkach nietypowych, które, nawiasem mówiąc, są trudne do wykrycia, wydalanie zarazków może się przeciągnąć od 2 do nawet 4 lat. Z tym jednak, że ilość wydalonych przez nosiciela zarazków, normalnie mniejsza

niż u chorego z objawami cholery typowej, zwiększa się, jeśli nosiciel zachoruje nawet na najbardziej banalny rodzaj jelit. Jednak przy należytym ostrzej kontroli sanitarnej nosiciele nie przedstawiają większego niebezpieczeństwa poza tym, że podtrzymują chorobę.

— Czy w ostatnim czasie wykryto w Polsce zarazki cholery?

— Do tej pory, a mogę to stwierdzić z całą odpowiedzialnością, ani w Łodzi, ani w Polsce przecinkowca cholery nie ma, ani nie ma nawet uzasadnionego podejrzenia, że jest.

— Spróbujmy jednak założyć taką ewentualność.

— Oczywiście można teoretycznie taką ewentualność rozważyć, ale od razu trzeba powiedzieć, że służba zdrowia jest w stanie taką sytuację opanować. Prawdziwym niebezpieczeństwem byłoby zakażenie wody, z której korzystają mieszkańcy miasta. Jest to jednak niemożliwe, gdyż oprócz stacji uzdatniania wody i dodatkowej porcji chloru, który jak już mówiłem, jest zabójczy dla przecinkowca — woda jest systematycznie badana przez służbę epidemiologiczną. Natomiast przestrzegalbym przed zbyt lekkomyślnym ko rzystaniem z wszelkiego rodzaju nie będących pod kontrolą studni prywatnych, które są siedliskiem najprzeróżniejszych zarazków.

Woda ma zresztą w wypadku cholery znaczenie podwójne. Z jednej strony może stanowić źródło rozprzestrzeniania się choroby, z drugiej strony istotny czynnik w walce z nią. Nie zapominajmy przecież, że jest to choroba brudnych rąk. Najskuteczniejszą bronią jest więc skrupulatne przestrzeganie zasad higieny osobistej. Mycie rąk przed przygotowaniem posiłku, po wyjściu z ubikacji, przygotowaniu wody i mleka pochodzących z nieznanego źródła, staranne mycie i obieranie owoców. Potrzeba więc nam dużo, łatwo dostępczej, czystej, dobrej wody.

— Której w Łodzi zbyt wiele nie mamy...

— Ano właśnie. To z kolei zobowiązuje nas do szczególnej oszczędności tam, gdzie jest łatwo dostępna, po to, by ludność donosząca wodę do mieszkań ze źródeł ulicznych lub punktów dowożenia beczkowozami, mogła jej więcej pobierać niż dotychczas.

— A jak wygląda ochrona naszego zdrowia w praktyce?

— W tej chwili głównym zadaniem jest kontrola nad wszystkimi osobami, przyjeżdżającymi do Polski. Punkty wjazdowe i lotniska objęte są kordonem sanitarnym, który telefonicznie przekazuje informacje o tym, kto i skąd przyjeżdża oraz gdzie się w Polsce zatrzyma. Korzystamy również dodatkowo z wybitnej pomocy biur paszportowych, hoteli i przede wszystkim milicji, bo niestety, nie wszyscy przyjeżdżający rozumieją konieczność nawiązania z nami kontaktu. A przecież do Łodzi przyjeżdża, i to właśnie ze stref objętych cholera, sporo handlowców oraz studentów. W Polsce obowiązują przymus szczepienia, któremu wszyscy bez wyjątku muszą się poddać.

— Ale zarazki można także przewieźć na przykład w żywej postaci?

— Tak. Toteż punkty celne konfiskują wszelkie produkty żywnościowe nie opakowane firmowo. Nie można także przywozić owoców.

— W jaki sposób służba zdrowia w Polsce jest przygotowana do bezpośredniej walki w przypadku wykrycia cholery?

— Wobec łatwości przeniesienia przecinkowca cholery z dalekich krajów, tak jak cała kula ziemiska i my jesteśmy w stanie zagrożenia, który zmusza nas do pełnej „gotowości bojowej”. Mamy więc przygotowane łóżka obserwacyjne, łóżka dla chorych, izolatoria dla obserwacji otoczenia, laboratoria badawcze, zaopieczoną służbę zdrowia, zespoły konsultacyjne, odpowiedni transport i oczywiście niezbędne leki.

— W jakim stopniu, przy zachowaniu tych wszystkich środków ostrożności, cholera jest niebezpieczna?

— Przy zastosowaniu w pełni prawidłowego leczenia, polegającego przede wszystkim na podawaniu środków zatrzymujących wodę w organizmie oraz antybiotyków i sulfonamidów, śmiertelność może wynieść zaledwie 3 proc. Jest to niewątpliwie ogromny sukces medyczny, jeśli porównamy to ze śmiertelnością dochodzącą do 50 proc., występującą tam, gdzie nie ma odpowiedniej ochrony medycznej. W Polsce ostatnie przypadki zachorowań na cholere zanotowano w roku 1920. Obecny stan medycyny pozwala sądzić, że jest to rzeczywiście ostatnia data w kronice tej choroby w kraju. W każdym razie polska służba zdrowia zrobi wszystko, aby tak było.

Rozmawiała: B. M.

niety niż z towarzystwa 50 najpiękniejszych dam!

Może nie wierzysz? Przyślij natychmiast 5 dolarów, a będziesz pokwitowany, otrzymasz tę książkę i na cały kwartał pismo „Ameryka-Echo”.

Nie zamówiłem tej książki, ale po przeczytaniu takiej reklamy byłem „pokwitowany”.

W okresie międzywojennym szukały żeru na polskim terenie różne niemieckie, naturalnie anonimowe przedsiębiorstwa wydawnicze. Te działały na szeroko zakrojoną skalę. I tak wkrótce po pierwej wojnie światowej powstało w Katowicach „Wydawnictwo Polskie” Spółka Z.O.O. Spółka ta wydała m.in. dwa potężne tomy dzieła pt. „Nowe Przyrodolecznictwo”.

Miała ona w Polsce na niemiecki sposób zorganizowaną propagandę i sprzedaż: we wszystkich wojewódzkich miastach istniały jej terenowe oddziały, w których organizowano permanentnie dwutygodniowe kursy sprzedaży „Przyrodolecznictwa” na wygodne dla nabywców raty.

Kursy były bezpłatne, a dzieło miało się znaleźć w każdym polskim domu.

A jaką wartość posiadało to dzieło, zredagowane skandaliczną polszczyzną, niech świadczy poniż-

szy wiersz, mający wyjaśnić, jak należy hartować ciało:

*Nadzy ludzie w czarnym chłacie, Europejczyk się pyta nagięgo dzikiego:*

*Czy nie zimno ci bracie? Ten wprost mi się śmieje... Czy w twarzy mroz masz? O, niech tu wiatr wieje U mnie wszędzie twarz”.*

Wierszyk ten wystarczająco określa wartość „Nowego Przyrodolecznictwa”, które kosztowało przed wojną ponad 100 złotych. Ale szło, jak to się mówi fachowo — jak woda!

Powyższe przykłady dają tylko słabe pojęcie o tym, jaki chaos panował dawniej na polskim rynku wydawniczym. Słowo „Wydawca” oznaczało dawniej odium wśród wszystkich literatów i poetów, ludzi pióra — dla tego zawodu. Los każdego autora zależny był wyłącznie od wydawcy, jeśli autor taki chciał zostać poetą lub powieściopisarzem. Jeszcze sto lat temu autor nie otrzymywał nic lub prawie nic za swoje dzieło; w okresie międzywojennym dostawał przeważnie honorarium ryczałtem lub w zależności od sprzedaży dzieła, a były też liczne wypadki, że poeci i li-

teraci wydawali książki własnym nakładem, zakładali własne księgarnie i własne wydawnictwa, żeby zupełnie niezależnie się od wydawców.

Mam też na warsztacie tego rodzaju oddzielną pracę pt. „Literaci w roli księgarzy i wydawców”. Jeżeli dawniej pisarze polscy zakładali własne księgarnie i wydawnictwa, to chyba po to, by niezależnie się od woli wydawców i nie dać się wyzyskiwać. Nawet Boy-Zeleński prowadził przez pewien okres czasu własne wydawnictwo w Warszawie przy ul. Smolnej i proponował mi, bym mu je fachowo poprowadził. Nie mogłem przyjąć propozycji Boya, bo czas mi na to nie pozwalał i kierownictwo „Biblioteki Boya” objął Wacław Czarski.

Mogłem być też zostać współnikiem żyjącym do dziś Melchiora Wańkowicza, który zajmując po pierwszej wojnie stanowisko naczelnika Wydziału Prasowego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, chciał koniecznie założyć własną firmę wydawniczą, choćby z jakimś odpowiednim współnikiem.

Znalazł go w osobie niejakiego Mariana Kistera i obaj założyli w Warszawie „Rój”. Był to prawdziwy rój wydawnictw wyłącznie be-

letrystycznych, zalew powieści przeważnie tłumaczonych i żółta „Biblioteczka Roju” doskonale redagowana przez Wańkowicza. Kister nie był przedtem wydawcą, o wydawnictwie nie miał żadnego pojęcia, ale był doskonałym handlowcem. Przed samą wojną Wańkowicz i Kister przenieśli „Rój” do Nowego Jorku, Wańkowicz, jak wiadomo, wrócił do kraju, Kister zmarł przed 10 laty w Stanach Zjednoczonych, a wdowa po nim prowadzi firmę do dnia dzisiejszego. Jak słyszałem, Kister spłacił Wańkowicza, który wystąpił ze spółki, a wydawnictwo „Rój” w Nowym Jorku przedstawił podobno dziś wartość w stu milionów dolarów.

Nie byłem wydawcą z prawdziwego zdarzenia, byłem nim z przypadku. A przypadek, częsty sprawa ludzkich losów i przeznaczenia, może skierować człowieka na drogę proste lub zawile, może też nie bacznego człowieka młodego poprowadzić na manowce życia.

Mnie na moje szczęście powiodła prosta droga, drogą mego szczególnego zamiłowania, bo od lat chłopięcych wprost pochłaniałem różne opisy przygód, podróży, gromadziłem skrzętnie zeszyty: Buffalo Billa, Jacka Texasa, Nick

Cartera, Sitting Bulla, Karola Maya i innych. Już w roku 1908 zacho-dziłem z kolegą z gimnazjum do pana Uszyckiego, wydawcy powieści Karola Maya; na dziedzińcu w Hotelu Europejskim w lewej oficynie, we Lwowie, pan Uszycki, stary, z wyschniętą czerą przepędzał nas z początku na cztery wiatry z krzykiem, gdy prosiłmy o jakiś zniszczony lub podarty zeszyt Karola Maya. Ale młodość jest natarczywa, zwłaszcza gdy chodzi o tego autora.

Pewnego razu, stojąc z jakimś kolegą przed drzwiami wydawnictwa, trafiliśmy na dobrego humor Uszyckiego. Zawolał nas do środka i zapytał, czy chcemy pomóc jego woźnemu w załadunku i odwiezieniu ręcznym wózek liczących paczek na pocztę. Ofertę przyjęliśmy skwapliwie, pracę wykonałmy, a w nagrodę za nią dostałmy po jednej książce Karola Maya. Potem potrzebował nas jeszcze kilkanaście razy i w ten sposób zdobyliśmy sobie część powieści Karola Maya — wówczas marzenie wszystkich uczniów.

W tym samym domu mieszkała się na froncie wielka księgarnia H. Altenberga, a w podwórzu w piętrowym budynku był dział wydawniczy tej firmy.

(Dalszy ciąg nastąpi)



# Muzyka

W

## Łodzi

Tak się jakoś składa, że początek sezonu muzycznego jest zawsze optymistyczny. Później — różnie bywa, wrzesień jest zawsze interesujący. Dawniej była to zasługa Warszawskiej Jesieni, której uczestnicy koncertowali potem w różnych miastach, także w Łodzi. W tym sezonie atrakcyjność repertuaru jest nie tylko za sprawą warszawskiego festiwalu. Wrzesniowy afisz (Filharmonia wprowadziła pożyteczną nowość w postaci comiesięcznych informatorów o koncertach symfonicznych) zapowiada muzyczną sensację po sensacji. A więc na inaugurację sezonu rewaluacji Konstanty Kulka — najmłodszy i najmłodszy skrzypek polski. Nie ukończywszy jeszcze studiów muzycznych, zapisał na swym koncie szereg nagród na konkursach międzynarodowych i szereg koncertów na wszystkich kontynentach świata. 23-letni artysta jest obdarzony talentem, który zdarza się raz na sto lat, fenomenalną muzykalnością i wirtuozostwem. Bardzo trudny Koncert skrzypcowy A-dur Jana Brahmsa, który wykonał w Łodzi tym razem świadczy, że dla młodego artysty nie ma już dziś trudności technicznych, że w jego bogatym repertuarze może się znaleźć praktycznie każda pozycja. Wyobrażam sobie, że za pięć, dziesięć lat niełatwo będzie usłyszeć Kulkę w kraju, a my będzie my chwalić się, że pamięć dzieciu, słyszeliśmy go w 1970 roku...

Orkiestra Filharmonii Łódzkiej pod dyktando Stefana Marczyka wykonała na inauguracyjnych koncertach (bardzo pięknie) Nokturn i Tarantellę Karola Szymanowskiego oraz, z chórem FE — Nokturny Claude Debussy'ego.

Po tygodniu — następna porcja znakomitych wrażeń — dawno w Łodzi nie słyszany Henryk Czyż z V

Symfonią e-moll Beethovena i pianista radziecki Rudolf Kerer z Koncertem fortepianowym d-moll Jana Brahmsa.

Niemniej atrakcyjnie zapowiadają się dalsze pozycje. A więc 18 i 19 września trio Wilkomirskich: Wanda (skrzypce), Kazimierz (wiolonczela) i Józef, który poprowadzi łódzka orkiestrę w Koncercie podwójnym a-moll na skrzypce i wiolonczelę Brahmsa. Dalej ma być już atrakcje związane z Warszawską Jesienią — 23 września występ Królewskiej Orkiestry Filharmonicznej z Liverpool (Wielka Brytania) pod dyktando Charlesa Grovesa. Brytyjczyce wykonają Uwerturę Egmonta Beethovena, Koncert A-dur na klarnet (Jack Brymer) Mozarta, Gry Weneckie Lutosławskiego i II Symfonię D-dur Brahmsa. Przy okazji warto nadmienić, że nie przypada w tym roku żadna rocznica Brahmsa, a fakt, że kompozytor ten wykonywany jest na wszystkich kolejnych koncertach, jest czystym przypadkiem, któremu łódzcy organizatorzy nie byli w stanie zaradzić. Nie jest to zresztą specjalny powód do zmartwienia. Brahmsa nie słuchamy w Łodzi zbyt często, zwłaszcza w tak znakomitych wykonaniach.

29 września nowa porcja wrażeń (tym razem bez Brahmsa) — Wielka Orkiestra Wszechzwiązkowego Radia i Telewizji ZSRR pod dyktando znakomitego Geny dija Rózdziestwienskogo (sołista — Aleksiej Michlin — skrzypce). W wykonaniu tego znanego, a w Łodzi jeszcze nie słyszanego zespołu symfonicznego usłyszymy IV Symfonię f-moll Czajkowskiego, I Koncert skrzypcowy Sostakowicza i II Suitę z baletu Dafnis i Chloë Ravela.

Tak więc w pierwszym miesiącu sezonu Filharmonia Łódzka oddała wszystkie zeszloroczne długi swym bwalcom, jak pamiętamy odwoływano w ubiegłym roku koncerty Kulki i Kera. Mamy nadzieję, że passa odwoływanych nazwisk, która trwała prawie dwa lata, została niniejszym zakończona.

Jak wskazują wszelkie znaki, październik będzie w Filharmonii również atrakcyjny. Między innymi szóste go wystąpi japońska orkiestra smyczkowa Toho Gakuen — String Orchestra z repertuarem europejskim (Vivaldi, Strawiński) oraz rodzimym (japoński kompozytor Koyama), pod koniec

miesiąca prawdopodobnie wystąpią laureaci Konkursu Chopinowskiego, który będzie miał miejsce w Warszawie w dniach od 7 do 25 października. Zasygnalizować też warto doroczny festiwal muzyki organowej, który wchodzi już na dobre do tradycyjnych imprez muzycznych Łodzi. Organizatorzy zapowiadają, że będzie bogatszy niż w ubiegłym roku, szczególnie akcent będzie tym razem położony na polską muzykę dawną. Festiwal trwać będzie od 2 do 10 października.

Co przyniosą dalsze miesiące sezonu? Czy imprezy również atrakcyjne co w początkowych? Zobaczymy, trudno dziś wymieniać wszystkie nazwiska zapowiadanych dyrygentów i solistów. Warto może tylko wspomnieć, że w tym sezonie usłyszymy co najmniej trzech polskich dyrygentów. Henryk Czyż ma wystąpić

w Łodzi jeszcze dwukrotnie, w październiku poprowadzi łódzka orkiestrę Andrzej Markowski, w grudniu, na zakończenie Roku Beethovowskiego — Stanisław Wiślicki zaprezentuje IX Symfonię.

Na zakończenie warto wspomnieć o tegorocznej inicjatywie Filharmonii — wprowadzeniu cyklu koncertów symfonicznych dla młodzieży szkolnej. Cykl nosić będzie nazwę „U źródeł orkiestry”. Raz na kwartał (w listopadzie, lutym i maju) Filharmonia poświęci cały tydzień na koncerty szkolne, organizowane na podobnej zasadzie abonamentów jak przedstawienia teatralne dla szkół. Oby ta forma umuzykalniania przyniosła rezultaty, do tychczas bowiem na sali filharmonii widuje się tylko młodzież szkół muzycznych.

T. W.

## spektakle tygodnia

		spekt.	widz.	proc.
TEATR WIELKI	— „Orfeusz w piekle”	1	1260	100
	— „Królewna Śnieżka”	1	1260	100
	— „Zemsta nietoperza”	2	2520	100
	— „Straszny dwór”	1	1260	100
	— „Książ Igor”	1	1260	100
POWSZECHNY	— „Lizystrata”	3	1500	90
	— „Ojcowie rodzą się w szafach”	1	400	70
JARACZA	— „Wszystko w ogrodzie”	4	2040	100
7.15	— „Grube ryby”	4	1400	83
OPERETKA	— „Miłość szejka”	6	4587	66
FILHARMONIA	— koncerty symf.	2	1400	100



## OBIEKTYW

### Na przywitanie „Kolumbów”

Narodził się nowy serial telewizyjny. Już sam ten fakt jest wydarzeniem. Tradycje seryjnych filmów telewizyjnych są w Polsce dość krótkie. Dawniej na małych ekranach święciły triumfy serie importowane: „Doktor Kildare”, „Robin Hood”, „Święty”...

W krótkich, paroletnich zaledwie dziejach rodzimego serialu mamy przecież do zanotowania wielkie sukcesy. „Kapitan Kloss”, „Cztery pancerni i pies”, czy „Przygody pana Michała”, to serie, które cieszyły się bezprzykładnym powodzeniem nie tylko w kraju, ale i zagranicą. Zaczynamy mieć zaufanie do naszych filmów telewizyjnych i wiele się po nich spodziewamy.

„Kolumbów” witamy na ekranach telewizorów ze szczególnym zainteresowaniem. Przede wszystkim dlatego, że powstają w oparciu o dobry utwór literacki. „Kolumbowie rocznik 20”, trzytomowa powieść Romana Bratnego wydana w 1957, w ciągu dziesięciu lat doczekała się dziewięciu edycji o wysokich nakładach. Jest to wymownym dowodem, jak wielkim powodzeniem cieszyła się u czytelnika. Adam Hanuszkiewicz adaptował ją na scenę. Po warszawskim Teatrze Powszechnym wystawiły tę sztukę inne teatry, między innymi łódzki — im. Jaracza.

Parę słów o przyczynach powodzenia. Była to pierwsza książka, która w sposób prawdziwy i artystycznie udany przedstawiła obraz losów młodzieży AK w czasie ostatniej wojny. Sam tytuł powieści stał się symbolem pokolenia, którego najlepsze lata młodości przypadły na czas okupacji. Bohaterowie Bratnego reprezentują rocznik 1920. Do pokolenia Kolumbów można jeszcze zaliczyć kilka roczników, mniej więcej na 1925 kończąc (sam autor urodził się w roku 1921).

Byli Kolumbami, gdyż drogi do lepszego świata szukali wśród szalejącej wokół burzy. Poznawali życie w walce, swą młodość i zapal złożyli na ołtarzu wielkiej sprawy. Oprócz wielkiej ofiary życia, którą przyszło złożyć wielu z nich, składali na co dzień ofiary drobne, ale dotkliwe. Rezygnować musieli ze wszystkiego tego, co powinno być udziałem młodych: z rozrywki, zabawy, flirtu, miłości.

Książka Bratnego przemówiła nie tylko do ex-Kolumbów, dobiegających dziś pięćdziesiątki. Podbiła wstępnym bojem serca młodzieży, która — wbrew niektórym czarownikom — nie jest bynajmniej głucha na patriotyczną tradycję. Czy coś w tym dziwnego, że młodzież dzisiejsza chętnie spogląda na lata wojny i okupacji oczyma swoich ówczesnych rówieśników? W ten sposób łatwiej jej jest wiele spraw zrozumieć i przeżyć z pozycji współczesności.

Dlatego wróżę powodzenie telewizyjnym „Kolumbom”, mimo, że piszę te słowa po obejrzeniu na małym ekranie dopiero pierwszego odcinka serialu p.t. „Śmierć po raz pierwszy”. Jeszcze za wcześnie na oceny i sądy. A przecież już teraz zaryzykuję twierdzenie, że nowa seria trafi do młodzieży. Do niej (słusznie) została przede wszystkim zaadresowana przez realizatorów.

Trójka wykonawców głównych ról — Jan Englert, Władysław Kowalski i Jerzy Matalowski (tegoroczny absolwent Wydziału Aktorskiego łódzkiej PWSFTiT) nie próbują stylizować postaci zgodnie z żywą jeszcze tradycją tamtych czasów. Są jak współcześni młodzi ludzie, którzy odbywają wycieczkę w przeszłość. Sposób bycia, zachowania, nawet język, jakiego używają, zaczerpnięty jest z dnia dzisiejszego.

W tym zresztą wyraża się chyba zasadnicza koncepcja reżysera filmu, Janusza Morgensterna: przybliżyć minione wydarzenia do mentalności dzisiejszej młodzieży. Nie więc, że w filmie zdarzają się anachronizmy (kto wdział „bikini”?), nie chodzi o wierność detali. Celem głównym jest, by po upływie ćwierćwiecza młodzież, która zna wojnę tylko z kronik filmowych, odkryła w sobie bliższe pokrewieństwo z Kolumbami. By rozumiała, że ideały, za które oni ginęli, pozostały żywe i nie straciły nic na wartości.

A starsze pokolenie, to które wizerunek wojny nosi w swej pamięci? Z pewnością również znajdzie w telewizyjnych „Kolumbach” jakiś okruszek także własnych przeżyć. Czekamy więc na dalsze odcinki serialu!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE



niezwykłości funkcjonowań naszej kinematografii, o którą w nowym, jak się rzekło, sezonie pewnie niejedną raz przyjdzie się jeszcze pokłócić.

„Krajobraz po bitwie” sezon ten otwiera jednak godnie i jak przysługujące należy wywoła dyskusję i sądy najbardziej sprzeczne. Andrzej Wajda pozostając nadal najciekawszą indywidualnością polskiego kina, jak nikt do tej pory, potrafił prowokować publiczność i krytykę. Można Wajdę nie lubić, nie można jednak obok jego filmów przechodzić obojętnie.

Dotychczasowa twórczość Andrzeja Wajdę dawała dowody tego, iż reżyser ten niejako nie istnieje bez polskiej literatury, szerzej — bez polskiej tradycji kulturalnej. Niemniej, gdy przed rokiem usłyszeliśmy, że przystąpił do realizacji filmu opartego o opowiadania Tadeusza Borowskiego, uczucie zdziwienia było wrażliwym podstawowym. Trudno bowiem w dziełach polskiej sztuki znać leżących bardziej skrajnie indywidualności artystyczne.

Andrzej Wajda, artysta operujący przede wszystkim emocjami, wypowiedzą dający się obrazami, komponowanymi w wielkie metafory, skłonny do ornamentyki inspirowanej aktualnie mu potrzebną tradycją literacką czy plastyczną, Wajda sięgający po twórczość najbardziej surowego, nagą pra-

wdą najstraszliwszych ludzkich doświadczeń przemawiającego Tadeusza Borowskiego, musiał stworzyć film, w którym obecność pisarza odnajdujemy jedynie w problemie wyjściowym i którego dialogi, często jako ciała obce, słyszeć będziemy z ekranu. Sądzić należy, że zdecydowała o tym nie tylko artystyczna indywidualność Wajdę, o ostatecznym kształcie przesądzić musiała wewnętrzna, ale i historyczna możliwość. Proza Borowskiego to jeden z najbardziej tragicznych w dziejach literatury światowej wyników doświadczeń ludzkich, to proza, w której przemawiający tragizmem rozrachunek ze światem jest równoległy z doświadczeniem osobistym. W prozie Borowskiego rzeczywistość jest autentyzmem, w filmie Wajdę rzeczywistość, ta, nadal straszliwa, groźna i porażająca, jest już jednak napiętnowana artystycznym przetworzeniem i dystansem lat.

Można by tu Wajdę obwiniać o zdradę nie tylko prozy Borowskiego, ale i realioów owej obozowej i obozowej rzeczywistości, gdyby nie świadomość tego, że na świat ludzi, którzy obóz przeżyli, patrzeć dziś oczyma Borowskiego nikt już chyba nie potrafi, gdyby nie wielka siła tego filmu, chwytająca za gardło także, sądzę, tych, dla których ostateczne doświadczenie ludzkie jest dziś niewyobrażalne.

Cała poetyka tego filmu świadczy o tym, że Wajda w estetycznej szu-

kał ratunku nie tylko przed niemożnością przełożenia prozy Borowskiego, lecz pozostając wiernym swym środkom ekspresji, w nich właśnie szukał szansy dla uniwersalizacji spraw, których tragizm nie zmalał w owym dystansie dziesięcioleci, dzielących nas od „epoki pieców”.

Odnajdujemy w „Krajobrazie” obraz ludzi porażonych czasem okrucieństwa i umierania, doświadczonych tą jedyną dla nich wówczas realnością, ludzi, dla których powrót do życia jest odkrywaniem go na nowo w tych wszystkich układach, prawach i wartościach, które ludzkość kształtowała w ciągu całego swego istnienia. To odkrywanie, wbrew wszystkiemu, nie może jednak nastąpić bez powrotów do doświadczeń, które przez obozowy czas mogły stracić swe znaczenie. Dla jednych będzie to powrót do pojęcia ojczyzny, która jawi im się w całym sztafażu narodowych symboli i kultów (nie byłby tu Wajda sobą, gdyby zrezygnował z gorzkiej ironii w znakomitej sekwencji żywego obrazu „Bitwy pod Grunwaldem”), dla drugich jest to czas odnajdywania w sobie i u innych uczuć danych przez samo przynależenie do człowieczej społeczności. Dlatego też Poeta w „Krajobrazie po bitwie” nie jest już pełnym bohaterem Borowskiego, nie jest „wypalony” do końca. Wajda i Olbrychski nie mówią o jego nienawiści do świata, eksponując głównie wewnętrzną goręć i ból, które nie

pokonując wrażliwość, pozwolą na powroty, zdawałoby się niemożliwe.

Wajda ten czas powrotów przedstawia w obrazach, które zważywszy na tragizm i surowość tematu, teoretycznie winny budzić nasz sprzeciw. Dotyczy to przykładowo szokującej niemal wyrafinowanym, prawie eleganckim pięknem ekspozycyjnej sekwencji czy sekwencji spaceru młodych bohaterów, w której banalnie niemal w swym jesiennym pięknie pejzaże, zdają się służyć tylko samozadowoleniu twórcy. A jednak jest w tych estetycznych spekulacjach, w kunstownościach kadrowych, wewnętrznych rytmach poszczególnych sekwencji, w metaforycznościach sytuacji i postaci siła, która jak gdyby a rebours wydobywa nagość człowieka i narodu w jego sytuacjach ostatecznych. Wajda jest silny tam, gdzie przemawia obrazami, gdy działa na emocje a nie na intelekt. Stąd zapewne te nieudane partie filmu, gdzie Wajda sam nie znajdując wyrażenia obozowych, oddaje głos tekstom Borowskiego, które nie zawsze w jego filmie brzmią dobrze i prawdziwie, wyłącznie dlatego, iż wyrwane są z kontekstu prozy pisarza.

Można się buntować przeciw Wajdzie, polemizować ze szczegółami jego filmu, nie sposób nie odeczuć tego, że jeszcze raz jesteśmy przez niego pokonani, czasami wbrew sobie.

EWA NURCZYŃSKA



# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

## ALBERTO SANCHEZ

Pierwszy raz od czasów Republiki, Hiszpania uczciła swego wybitnego rzeźbiarza, Alberta Sancheza zmarłego w 1962 roku na uchodźstwie w Moskwie.



Alberto: Makieta rzeźby zdobiącej pawilon Republiki Hiszpańskiej na Międzynarodowej Wystawie w Paryżu w roku 1937.

gdzie spoczywają jego prochy.

Wielka, retrospektywna wystawa w madryckim Muzeum Sztuki Współczesnej zgromadziła 30 rzeźb (z tego 25 sprowadzonych z ZSRR) i 80 obrazów i rysunków Alberta Sancheza. W uroczystym otwarciu wystawy wzięła udział przybyła z Moskwy wdowa po rzeźbiarzu, Klara.

Alberto Sanchez urodził się w roku 1895 w Toledo. Jego ojciec zmieniał zawód, był m.in. piekarzem, później ogrodnikiem. Alberto jeden z sześciorga rodzeństwa, musi wcześniej zarobkować. Już jako 7-letni chłopiec terminuje u kowala, potem jest pastuchem. Kiedy ma lat 12 przenosi się wraz z rodziną do Madrytu. Pracując nie ma czasu na naukę, toteż dopiero w wieku 15 lat piętnastu uczy się czytać i pisać. Będąc w stolicy Hiszpanii interesuje się sztuką i po pracy odwiedza często muzea. W Maroku podczas trzyletniej służby wojskowej zaczyna intensywnie rzeźbić, głównie popiersia i od tej pory poważnie traktuje swe zamiłowania artystyczne. W roku 1920 kończy służbę wojskową i wraca do Madrytu, gdzie pracuje jako piekarz, a w wolnych chwilach rozwija swój talent artystyczny. Przypadkiem poznaje urugwajskie go malarza Rafaela Barradasa, który interesuje się twórczością Alberta, udziela mu rad, zaznajamia z aktualnymi kierunkami w sztuce i wprowadza młodego rzeźbiarza do madryckich środowisk artystycznych.

W roku 1925 Alberto bierze udział w zorganizowanej w Toledo wystawie artystów iberyjskich, gdzie zwraca na siebie uwagę swymi dziełami. W następnym roku otrzymuje stypendium, które pozwala mu poświęcić się wyłącznie pracy artystycznej. W tym to okresie czasu, Alberto studiując z zapalem

rzeźbę iberyjską, skłania się ku kubizmowi a następnie surrealizmowi i współpracuje sobie własny styl. Tworzy przeważnie symboliczne dzieła, w swej formie związane z tradycją ludową twórczości iberyjskiej posługuje się elementami mineralów i flory rodzinnego krajobrazu. Jego sztukę niektórzy krytycy określają jako „poetycki realizm” w rzeźbie.

W roku 1936, gdy wybuchła wojna domowa w Hiszpanii, Alberto bez wahania opowiada się za Republiką. Podczas działań wojennych bomba niszczy dom, w którym mieszkał i w którym była jego pracownia. Wtedy to wiele



Alberto: „Byk”

hiszpańskich wywakuowanych z terenów objętych wojną domową.

Po wojnie domowej Alberto nie wraca już do fałszywej Hiszpanii. Po zostaje do końca życia w ZSRR. Rysuje dekoracje teatralne, maluje, rzeźbi, jest m.in. doradcą artystycznym przy nakręcaniu filmu o Don Kichocie. Na jakiś czas porzuca rzeźbiarstwo uprawiając malar



Alberto: Autoportret.

dział Alberto ulega zniszczeniu.

W roku 1937 Alberto delegowany przez rząd Republiki do Paryża realizuje tam swą monumentalną rzeźbę pn. „Droga ludu hiszpańskiego do gwiazd”.

Dzieło to zdobyło pałon Republiki Hiszpańskiej na wystawie światowej w Moskwie wyjeżdża jako nauczyciel rysunków dzieci

swego pomysłu, przy czym niedawno dowiedział się, że producenci włoscy w połowie października przystępują do pierwszych projektowanego przez nich filmu o Rimbaudzie. Lanzmann, który uważa, że ma pierwszeństwo w pomysłcie sfilmowania życia Rimbauda, oddał sprawę adwokatowi, a tymczasem przygotowuje scenariusz z Fillipem Labro. Chce on w filmie możliwie wiernie odtworzyć przygodę poety. Dla tego postanowił nie nie zmyślać, bowiem życie Rimbauda było tak ciekawe, że film nie wymaga fantazjowania, autentyczne fakty są dość fantastyczne — oto Rimbaud na trasie cmentarzyska słoni, oto podróżuje ze swym ciężkim pasem, w którym schowane jest osiemnaście kilogramów złota, oto Rimbaud na targu wielbiadów i słoni, Rimbaud wiozący karawaną wiozącą broń dla cesarza Abisynii Menelika II.

Rząd Abisynii udostępnił Lanzmannowi fotokopie listów Rimbauda. To ciekawe dokumenty. Wiele spraw pozostaje jeszcze jednak niejasnych. Czy rzeczywiście Rimbaud handlował czarnymi niewolnikami? Podobno jeden z listów poety z roku 1890 pisał na takie przypuszczenia.

Film o Rimbaudzie, do którego jak twierdzi Lanzmann, trudno będzie dobrać aktora, z pewnością wywoła dyskusje, może kontrowersje. Niemniej sam pomysł sfilmowania niezwykłych przygód jednego z najciekawszych poetów francuskich jest wart zrealizowania.

przekazał australijskiej Bibliotece Narodowej rękopisy. Są wśród nich pierwsze opowiadanie „Smagły chłopczyk” napisane gdy Prichard miała piętnaście lat i otrzymała nagrodę młodzieżową oraz jedną z ostatnich jej prac — artykuł o W. L. Leninie.

## RIMBAUD BOHATEREM WESTERNU?

Arthur Rimbaud (1854—1891) jest jak wiadomo jednym z najwybitniejszych i najciekawszych poetów francuskich ubiegłego wieku. Jego twórczość wywarła ogromny wpływ na ukształtowanie się współczesnej poezji francuskiej, przygotowała grunt dla wystąpienia symbolistów i surrealistów. A życie Rimbauda owiane jest legendą. Po okresie wybuchowej młodzieńczej twórczości poetyckiej, Rimbaud zrywa całkowicie z poezją i pisarstwem. Zaczyna się wielka przegrada jego życia. Mając dwadzieścia dwa lata załącza się do kolonialnych wojsk holenderskich, dezertuje i wraca do Francji by wkrótce wyjechać na Cypr, a potem do Hararu w Etiopii. Przemierza niezbadane tereny Abisynii handlując bronią, kawą, skórami, a podobno nawet czarnymi niewolnikami. Wraca po latach do Marsylii chory, z nowotworem kolana i wkrótce umiera.

Zycie Rimbauda pełne niezwykłych przygód nieodpowiednie dla filmowców, którzy chcieliby zrobić na podsta wie zyciorysu poety, western — obraz awanturniczo-przygodowy. Jeden z filmowców francuskich Jacques Lanzmann powiedział: „Od dziecka fascynowała mnie postać Rimbauda. Toteż od czasu po wrotu z mojej ostatniej podróży do Etiopii, siedem lat temu, gdy przemierzałem trasy jakie przemierzał autor „Pijanego statku” uderzyła mnie pewna oczywistość — przygody tego poety są materiałem do niezwykłego filmu. Razem z Sergem Ganzem napisałem scenariusz i chcielibyśmy nim zainteresować producentów amerykańskich, ale Amerykanie wykazywali się „Rimbaud? Nie interesuje nas”.

Lanzmann nie zrezygnował jednak z realizacji swego pomysłu, przy czym niedawno dowiedział się, że producenci włoscy w połowie października przystępują do pierwszych projektowanego przez nich filmu o Rimbaudzie. Lanzmann, który uważa, że ma pierwszeństwo w pomysłcie sfilmowania życia Rimbauda, oddał sprawę adwokatowi, a tymczasem przygotowuje scenariusz z Fillipem Labro. Chce on w filmie możliwie wiernie odtworzyć przygodę poety. Dla tego postanowił nie zmyślać, bowiem życie Rimbauda było tak ciekawe, że film nie wymaga fantazjowania, autentyczne fakty są dość fantastyczne — oto Rimbaud na trasie cmentarzyska słoni, oto podróżuje ze swym ciężkim pasem, w którym schowane jest osiemnaście kilogramów złota, oto Rimbaud na targu wielbiadów i słoni, Rimbaud wiozący karawaną wiozącą broń dla cesarza Abisynii Menelika II.

Rząd Abisynii udostępnił Lanzmannowi fotokopie listów Rimbauda. To ciekawe dokumenty. Wiele spraw pozostaje jeszcze jednak niejasnych. Czy rzeczywiście Rimbaud handlował czarnymi niewolnikami? Podobno jeden z listów poety z roku 1890 pisał na takie przypuszczenia.

Film o Rimbaudzie, do którego jak twierdzi Lanzmann, trudno będzie dobrać aktora, z pewnością wywoła dyskusje, może kontrowersje. Niemniej sam pomysł sfilmowania niezwykłych przygód jednego z najciekawszych poetów francuskich jest wart zrealizowania.

## W STULECIE URODZIN ANDRE GIDE'A

Francuska Biblioteka Narodowa przygotowuje na połowę października wystawę dla uczczenia setnej rocznicy urodzin pisarza Andre Gide'a, zmarłego w 1951 roku. Na wystawie obok eksponatów związanych bezpośrednio z życiem i twórczością pisarza znajdują się dzieła plastyczne jego przyjaciół i miłośników jego pisarstwa, takich artystów jak Maurice Denis, Braque czy Zadkine.

# Bez strachu

## WNĘTRZE GÓR

Powiedział mi doświadczony turysta, kiedy byłem w Zakopanem, że nie znam wnętrza gór, oglądam tylko ich powierzchnię — letnią, wiosenną, zimową, jesienną, ale zawsze tylko powierzchnie... Po to, by poznać wnętrza gór, trzeba wejść bardzo daleko, bardzo wysoko. Nie mogłem zrozumieć tych słów, wnętrza gór o takiej, czy innej znanej nauce strukturze geologicznej, czy też wnętrza gór znane z baśni — olbrzymia góra, w której wnętrzu śpi rycerz. Niektórzy będąc w górach od czuwam i kraje — odczuwam i kraje wokół uspiętych mocy, których namacalny obraz stworzyła baśń. Wiem jednak, że gdyby mnie ktoś zapytał, kto tak głęboko śpiący „Czy już czas?”, musiałbym odpowiedzieć „Nie, śpijcie jeszcze”. Oto maleńkie źródło — wywierzyło, do którego podchodzić po kamieniach, czernie wodę obracając i pić — natychmiast miła zmęczenie, poczucie niedobrego upału. Zachodził tożsamość mojego wnętrza z ogromnym, ciągle jeszcze nie znanym wnętrzem. Za pewne jest to woda najczystsza, woda spokoju. Wypływa maleńkim źródłem, a już o kilkanaście metrów pędzi z loskociem, zwala z nóg silne go człowieka. We wnętrzu gór wra olbrzymie moce, pędzą nawet jeżeli są uspięte. A ja ciągle jestem daleki, nawet kiedy pokrzepię się źródłaną wodą. Przed rokiem byłem nad morzem, nad morzem, nie we wnętrzu morza, nawet kiedy się zanurzyłem i nurkując otworzyłem oczy. Myślę, że góry i morze mają tożsamość, i-fentyczne wnętrza, tak tylko myślę, nigdy ich wnętrza nie osiągnęłam. Oto ktoś komu (jak mnie) zdołałem pomóc, ukasili mnie niemal natychmiast, oto ktoś jak sądzę, obcy, ktoś komu nigdy nie zrobiłem nic dobrego, wsparł mnie, dopomógł. Nie znalazłem także własnego wnętrza — spodziewałem się odpłatności ze strony tego, którego wspierałem. Spodziewałem się z jego strony chociaż godziwej obojętności. Nie zasłużyłem ani na jedno, ani na drugie, bowiem wsparcie powinno być udzielone bezosobowo. Nie jakoś, w skrytości, niemal, kręcąc bezinteresownie. Zie pomagalem, ranilem dumę wspieranego i stał się dla mnie niedostępny, skąpy, stromy, zamknięty przede mną swoje wnętrza... Poznanie wnętrza, zbliżenie do wnętrza, tożsamość z nim nie mogą być osiągnięte tylko myśleniem. Poznanie wnętrza zbliżenie do wnętrza, tożsamość z nim nie mogą być osiągnięte tylko myśleniem. Poznanie wnętrza to proces także przez przeżywanie piękna, także przez kulturę dobrotę, przez wyrafinowaną i trudną prostotę — proces bezpośredni, a wszelkie myślenie jest w stosunku do przedmiotu myślenia pośrednie, porównujące — poznające przez zestawienie z czymś innym. Tylko ten zna pewien przedmiot, kto potrafi zastąpić go innym przedmiotem... Tak myśląc, tylko myśląc wchodzi na niewysoką, ale dającą znakomite widzenie górę. Patrząc w dolinę, patrząc na równiny. Nigdy nie widziałem tak precyzyjnie doliny i równin, jak w tej chwili patrzenia z góry. Wnętrze gór — to całkowite zapomnienie gór, to najdoskonalsze z możliwych widzenie tego co jest poza górami.

Film o Rimbaudzie, do którego jak twierdzi Lanzmann, trudno będzie dobrać aktora, z pewnością wywoła dyskusje, może kontrowersje. Niemniej sam pomysł sfilmowania niezwykłych przygód jednego z najciekawszych poetów francuskich jest wart zrealizowania.

## W STULECIE URODZIN ANDRE GIDE'A

Francuska Biblioteka Narodowa przygotowuje na połowę października wystawę dla uczczenia setnej rocznicy urodzin pisarza Andre Gide'a, zmarłego w 1951 roku. Na wystawie obok eksponatów związanych bezpośrednio z życiem i twórczością pisarza znajdują się dzieła plastyczne jego przyjaciół i miłośników jego pisarstwa, takich artystów jak Maurice Denis, Braque czy Zadkine.

Juliusz Kaden Bandrowski powiedział kiedyś do pewnego młodego pisarza: „Dam panu jedną radę — wszystkie dobre rady na temat pisania niech pan ma w d...”. Było w tym trochę przekornej ekstrawagancji, ale bardzo wiele racji.

Przypomniała mi się kadonowska „rada”, kiedy przeczytałem jak Truman Capote mówi o swoim wywiadzie z Marlonem Brando: „Zjadłem z nim kolację, rozmawiałem z nim, a potem spędziłem rok nad tym utworem, bo chciałem przekształcić te banalne wydarzenia w dzieło sztuki”.

Nie wiem, czy się to Capote'owi udało, ale błada jeśli ktoś z piszących potraktuje tę kokieterijną wypowiedź jako radę. Nie wiem zresztą czy znalazłby się jakiś polski pisarz, którego stać byłoby na pisanie przez dwanaście miesięcy wywiadu — powiedzmy — ze Stanisławem Mikulskim.

Literatura pojmowana wyłącznie jako służba Sztuce, Słowu — ma chyba o wiele mniejsze szanse niż literatura pojmowana jako służba Ideal, czasowi... Jeśli już przyjmujemy, że literatura jest potrzebna ludziom, to przecież nie można zaplać jej w zawilżył i zawodnych bezdrożach „słownych”, formalnych gier.

Okrzywiście naiwna jest ta moja literacka futurologia, bo przecież wiadomo, że liczy się przede wszystkim literatura dobra. Ale — tak myślę — dobra literatura zawsze służyła swoim czasem — nieraz złym czasem, okrutnym... Zawsze służyła ideom — nieraz ideom chybionym, ale zawsze ożywiała ją wierność jakiejś sprawie, epoce. Nie mogło być winą literatury, gdy

epoka i sprawa ekazywały się potem podejrzanie lub mrocznie.

Gdyby przyjąć na serio deklaracje o wierności sobie głoszone przez amerykańskich twórców — pisarz byłby wolny od potknięć i pomyłek. Czasu, Sprawy i Ideal... Literatura byłaby zatem uboższa o te potknięcia i pomyłki — stałaby się gierką formalną — może piękną, ale trochę pustą.

Na szczęście tak nie jest. Pisarz się myli i potyka tak, jak mylą się ludzie i filozofowie, pisarz się gmatwa w rzeczywistości, w której przyszło mu żyć tak jak gmatwają się Sprawy. I pisarz daje światu dectwo tym czasem, gmatwaninie i pomyłkom.

Pisarz jest wierny swoim czasem, swojej epoce — tej aktualnej, dzisiejszej, bo epoka wieszczów minęła, jeśli kiedykolwiek istniała. Myślę nawet, że pisarz określonego czasu, będący ewym „kurzem czasu” może być wierny sobie tylko wówczas, gdy jest wierny czasowi. I tylko z taką poprawką gotów jestem przyjąć owe kokieterijne deklaracje niezależności wielkich pisarzy amerykańskich. Nie tylko ich zresztą — myślę, że dotyczy to literatury bez względu na szerokość geograficzną.

JERZY WIDOK

BERNARD SZTAJNERT

str. 11



THOMAS FLANAGAN

# Trzy żony Rudda

Nareszcie sędziowie przysięgli wydać wyrok. Rudd został uniewinniony. Była już godzina 22, gdy adwokat Oliver Amery pożegnał się ze swym klientem, który rozpytywał się w podziękowaniach dla swego obrońcy.

Amery pojechał do klubu. W sali jadalnej znalazł Jamesa Landale pijącego kawę. Adwokat usiadł przy stoliku przyjaciela i zamówił kolację przepraszając za spóźnienie.

— Czuje, że sprawa dobrze się zakończyła — zauważył Landale.

— Istotnie. Niewinny.

— Czy to była sprawa karna?

— Chodziło o morderstwo. Sąd przy sięgłych orzekł jednogłośnie, że mój klient Calvin Rudd nie zabił swej żony.

— Tak mówisz, jakbyś miał wątpliwości. Czy nie zgadzasz się z nimi?

— Winny, czy niewinny, to jest sprawa sądu przysięgłych — stwierdził Amery.

— Lecz i oni mogą się mylić.

Adwokat zamyślił się. Patrzył w okno, gdzie sześć pięter niżej latarnie Central Parku rozświecały swe światła.

— Gdybyś był członkiem sądu przysięgłych na pewno wydatyś taki sam wyrok.

— Nie wiem. Musisz mi wszystko opowiedzieć, wiesz przecież, że jestem w tym mieście dopiero od kilku godzin.

— Chętnie. Państwo Rudd mieszkali z drugiej strony Central Parku. Oboje około czterdziestki, byli szanowanym małżeństwem. Ich przyjaciele zeznali, że żyli w idealnej zgodzie. Rudd nie był człowiekiem zamożnym, lecz jego żona rozporządzała dość znacznym majątkiem. Miała jednak dziwne przyzwyczajenie, które ją zgubiło. Lubiała spacerować po parku nocą, w dodatku sama. Mąż często ją przestrzegał, na jego szczęście przy świadkach.

— Słyszałem, że zdarzają się tu napady i grabieże?

— Tak. Szczególnie w tym parku. Zdarzyły się tam dwa poważne wypadki na krótko przed jej śmiercią. Napady z bronią i rabunek. Prawda, że ryzykowne jest włóczyć się samotnie, ale rozumiem panią Rudd. To bardzo emocjonujące — spacer nocą wśród tajemniczych drzew.

— Głupota i szukanie śmierci — sprzeciwił się Landale.

— Może i tak. Pani Rudd została zamordowana kilka minut po północy. Na jej krzyk przybiegł dozorca parkowy, lecz nie mógł już pomóc. Obok ofiary leżało narzędzie zbrodni — nóż sprężynowy oraz torebka z pieniędzmi i dokumentami. Nie był to więc napad rabunkowy. Niedługo później zapukał do mieszkania zmarłej inspek-

tor policji. Tragiczna wiadomość wstrząsnęła Ruddem. Opowiedział inspektorowi, że Klara wyszła po godzinie 11 i oczekiwał jej powrotu z wielkim niepokojem.

— Czy nie znaleźli się jacyś świadkowie zbrodni?

— Owszem. W parku znajdowało się dwoje zakochanych. Usłyszeli krzyk kobiety, a dwie minuty później zobaczyli uciekającego mężczyznę. Gdy przechodził pod światłem latarni zauważyli jego rysy. Następnego dnia rozpoznali w fotografii zamieszczonej w gazetach, człowieka, który wybiegał z parku. Był to mąż zmarłej. W czasie śledztwa Rudd upierał się przy zeznaniu, że nie wychodził owej nocy z domu.

— Wydaje się to nieprawdopodobne.

— Tak samo myślał prokurator i wytoczył proces o zabójstwo. Lecz sędziowie przysięgli mieli wątpliwości co do zeznań świadków oskarżenia i wydali wyrok uniewinniający.

— Ale ty wiesz, że Rudd zabił swą żonę.

— Ja? Zapominasz, że musiałem go bronić.

Landale niezadowolony przyglądał się adwokatowi. — Czy to wszystko?

— Klara Rudd — ciągnął dalej Amery — była trzecią żoną mojego klienta. Wszystkie trzy zmarły śmiercią gwałtowną — zostały zamordowane.

— Jak to, czy chcesz powiedzieć, że Rudd po raz trzeci został podejrzany o zabójstwo?

— Ależ nie. Podałem ci tylko fakt zamordowania jego żon.

— Co o tym mówiono w czasie procesu?

— W ogóle nie mówiono — odparł Amery.

— Przecież to ważny element w tej sprawie — upierał się Landale.

— Czy sądzisz, że Rudd jest winny?

— Na pewno. Tym bardziej teraz, tak myślę.

— Właśnie dlatego ten element nie został przyjęty jako dowód. Może chciałbyś coś jeszcze wiedzieć o pochodnym życiu Rudda?

— Naturalnie, mów!

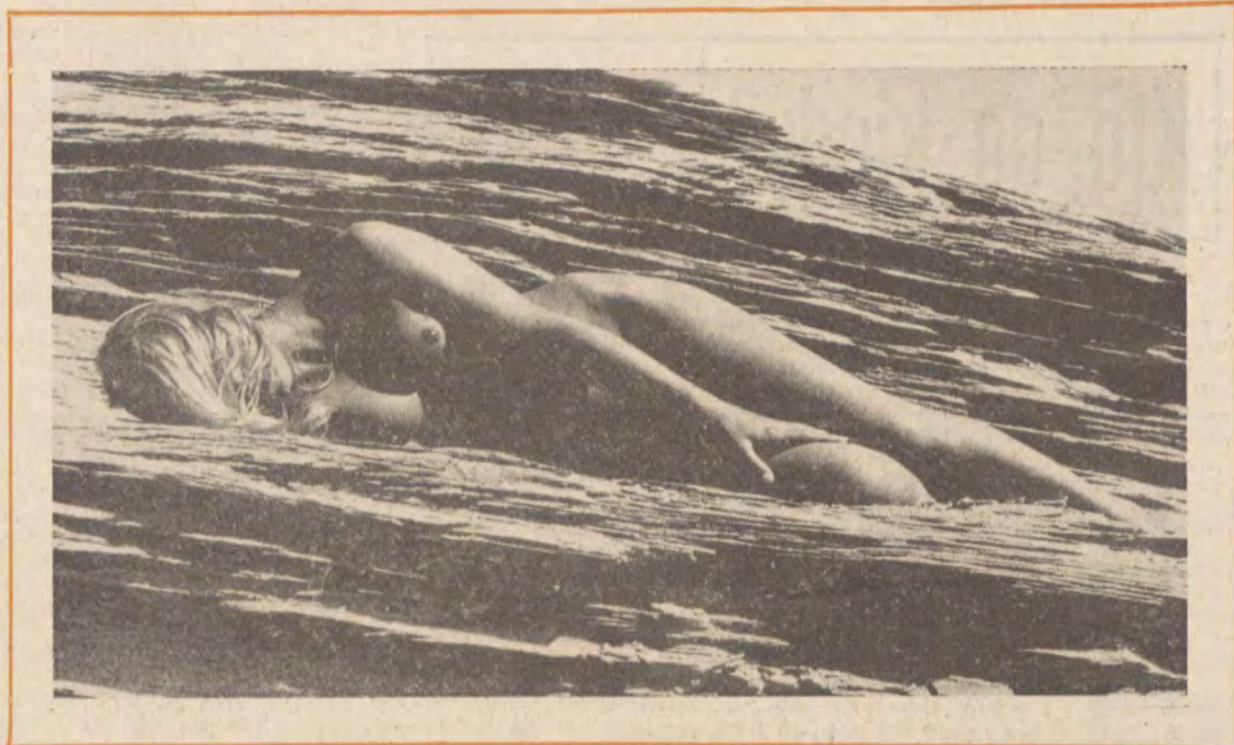
— Otóż Rudd był podrzutkiem, do szesnastego roku życia wychowywał się w sierocińcu w Bostonie. Mając siedemnaście lat otrzymał pracę w sklepie żelaznym. Jego właściciele, państwo Munden, przywiązali się do chłopca i po dwóch latach adoptowali go. Pani Munden, kobieta słabego zdrowia, zmarła sześć miesięcy później. W następnym roku Munden został obrabowany i zabity, gdy udał się do banku, aby wpłacić tam pieniądze. Rudd odziedziczył sklep, lecz nie powodziło mu się w interesach.

— Trzy żony i przybrani rodzice! To naprawdę za dużo.

— Nie powiedziałem ci nie jeszcze na temat osobowości Rudda, a to ważne. Nie jest ładnym mężczyzną, bardzo silny, głowa nieproporcjonalnie mała i obrzmiałe ręce. Jest bojaźliwy, w czasie pobytu u Mundenów nie miał przyjaciół. Bardzo silnie reaguje uczuciowo wobec każdego objawu zyciowego zrozumienia jego spraw i kłopotów. Zauważyłem to podczas procesu, gdy przygotowywałem jego obronę.

— Trudno nie być wdzięcznym wobec kogoś, kto usiłuje ocalić życie.

— Bez wątplenia. Po śmierci opiekunów Rudd spędzał wieczory na czy-



taniu, chodzeniu na koncerty, do teatru. Pewnego dnia spotkał Teresę Farrel, która niedługo została pierwszą panią Rudd. Była nauczycielką, osobą spokojną i dobrą. Małżeństwo okazało się szczęśliwe, lecz nie trwało długo. Teresa została zamordowana w Fenway Park, pewnej nocy sierpniowej. Tydzień przedtem w Bostonie wydarzyły się trzy inne zabójstwa tego rodzaju. Policja przypuszczała, że panią Rudd zabił ten sam morderca. Został on aresztowany i skazany. Przed śmiercią przyznał się do winy, lecz przysięgał, że nie zabił Teresy Rudd.

Śmierć żony doprowadziła Rudda do najwyższej rozpacz. Opuścił Boston i przeniósł się do Waszyngtonu, gdzie otworzył sklep z wyrobami żelaznymi. Zmienił nazwisko, aby zapomnieć o swej przeszłości. Gdyby nie to, może policja zainteresowałaby się głębiej sprawą śmierci jego drugiej żony w pięć lat później.

— Czy znów napad?

— Gdybyś czytał gazety, przypomniłabyś sobie zaleźca, który strzelał do oświetlonych okien.

— Czy ten także przyznał się do swych zbrodni?

— Nie został aresztowany. Przy wszystkich morderstwach używał tego samego typu broni — fuzji myśliwskiej. Jednak badania wykazały, że kula, która ugodziła panią Rudd, była wystrzelona z fuzji odmiennego typu. Nie znaleziono żadnych dowodów, aby oskarżyć Rudda. On i jego druga żona, z zawodu kelnerka, byli wzorowymi małżeństwem.

Rudd przeniósł się do Nowego Yorku. Zaczął znów chodzić na koncerty i zdarzyło się, że nawiązał rozmowę z kobietą, która obok niego siedziała.

— Czwarła ofiar! A prokurator nie przypominał o tym sędziom przysięgłym?

— Owszem, próbował, lecz założyłem sprzeciw — i sędzia musiał mi przyznać słuszność.

— Dlaczego Rudd nie był sądzony

o zabójstwo trzech żon?

— Z wielu przyczyn, a przede wszystkim dlatego, że jedna z tych zbrodni była dokonana w Bostonie, druga w Waszyngtonie, a trzecia w Nowym Yorku. Proces dotyczył tylko zbrodni w Nowym Yorku — wyjaśnił Amery.

— A jednak ty i ja jesteśmy moralnie przekonani, że Rudd zabił swe trzy żony i opiekuna, tak, czy nie?

Amery wyszeptał przygnębiony: — Nie byłoby mi przyjemnie, gdybym zobaczył, że ktoś z moich przyjaciół związał się z Ruddem. Mimo wszystko jest to typ niezwykle inteligentny. Klara i Teresa uległy temu samemu losowi z ręki zbrodniarza, który grasował w parkach. Druga pani Rudd zastrzelona przez zaleźca. Każda z tych zbrodni nastąpiła po serii faktów do siebie podobnych.

— Chciał skierować podejrzenia na kogoś innego? Nareszcie się zgadzamy!

— Punktem niejasnym jest brak motywów zbrodni. To prawda, że Rudd odziedziczył sklep po Mundenie i znaczny majątek po Klarze, ale nie zyskał niczego zabijając swe pozostałe żony — nauczycielkę i kelnerkę.

— Zdaje mi się, że wszystko zrozumiałem — rzekł Landale. — Słuchaj! Zabił mężczyznę, który mu pomógł. Potem nauczycielkę, która go wyciągnęła z samotności, potem kelnerkę, która nim się opiekowała w restauracji i wreszcie kobietę, która z nim dzieliła pasję do muzyki.

— Słusznie — stwierdził adwokat. — Te wszystkie osoby to mają z sobą wspólne, że Rudd musiał im być wdzięczny.

— Czy to właśnie nie jest motywem zbrodni?

Amery roześmiał się głośno. — To przecież nie ma sensu!

— Więc jakież miał motyw?

— Już jest za późno, żeby kontynuować tę dyskusję — rzekł Amery lekko zirytyowany. — Musimy się pożegnać. Czuję się bardzo zmęczony.

Wyszli z klubu. — Nie zapraszam cię

do siebie — usprawiedliwił się Landale. — Widzę, że potrzebny ci dobry wypoczynek.

— Masz rację. Jutro czeka mnie poważna sprawa.

— A więc do widzenia! Spotkamy się jeszcze w tym tygodniu i porozmawiamy.

Amery skierował się do postoi tak-sówek, które stały przy wejściu do Central Parku. Nagle zmienił decyzję i zagłębił się w gęstwinę parku. To była prawda, że niesamowita cisza i cienie drzew pociągały go. Po kilku minutach ogarnął go niepokój i zaczął iść szybciej. Był już w połowie drogi, gdy niespodziewanie pojawił się przed nim jakiś człowiek.

— Słyszałem, że pan lubi spacerować w nocy po parku. Zaprawdę jak Klara. — rzekł Calvin Rudd zbliżając się. — Czekalem na pana.

Amery przeraził się. — Skąd pan wiedział, że przyjdę tu dzisiaj? — zapytał.

— O, nie byłem tego pewny — odpowiedział Rudd pieszczotliwym tonem. — Lecz mówił mi pan, że idzie na kolację do klubu, więc czekałem. Myślałem, że gdy pan się znajdzie blisko parku i przypomni sobie proces, to zaciekawili się pan i tu wstąpi.

— To prawda — rzekł adwokat przy spieszając kroku i szukając wzrokiem najbliższej latarni.

— Czy nie przeszkadzam panu? Konieczne chciałem z panem porozmawiać. W sądzie nie mogłem wyrazić mej wielkiej wdzięczności. Po śmierci Klary pan pozostał moim jedynym przyjacielem na świecie.

— Ach, nie powinien pan tak mówić!

— A jednak to prawda, pan mi prze-cież ocalił życie — upierał się Rudd stając przed adwokatem. — Nikomu nie byłem tak wdzięczny! — Na chwilę zamilkł, potem zbliżył się do mężczyzny unosząc ramiona. Nagle przy-ciągnął go do siebie i ścisnął mocno za szyję...

Nikogo nie było w pobliżu! Oprac. A. S.



## Lewym okiem

ŁADNE, TANIE, WSZĘDZIE

Nie ukloniłem się na ulicy pewnej sympatycznej pani i od razu przestała mnie rozumieć. A jużemy się prawie rozumieć!

Schowałem do kieszeni pięć złotych reszty, które wydano mi w sklepie zamiast dwóch. Sprzedawczyni już po chwili urządziła piękną scenę ze wszystkimi obecnymi w roli naocznych świadków: tylko przez moment nie uważać, a znajdzie się taki i korzysta! To była ta sama sprzedawczyni, która przed tygodniem w mojej obecności wyrwała klientce z rąk kawałek kieszki i cisnęła jej pobrane już pieniądze, obrażona, że klientka zakwestionowała wstrętny ochlap dorzucony jako konieczna „dokładka”. Wtedy nikt klientki nie poparł, ja też nie, bo i my też nie dostaliśmy kieszki. Teraz też nikt mnie nie poparł, jako klienta, który — coś podobnego! — może się także omylić w rachunku. Zresztą wcale się nie omyliłem, tylko po prostu parę dni wcześniej wypadła śrubka. Całkiem maleńka.

Nawet nie śrubka, a trzpień, mikroskopijny kawałek drucika w okularach. Zawias puścił. Okulary

spadły z nosa, a właśnie staliśmy przed wystawą papierniczą, przystrojoną piramidką rolek z wiadomym papierem. Łakoma rzecz, taki papier. Więc nachyliłem się do wystawy, trzpień wypadł, okulary spadły z nosa a przy próbie niedopuszczenia do ich upadnięcia w pokrywioną kratę w chodniku, zakrywającą okno do piwnicy złamałem oprawkę do reszty. Złamana oprawka zresztą i tak wpadła przez kratę do pełnego śmieci i ogryzków dołu okiennego.

Właściciela piwnicy zastaliśmy w domu dopiero wieczorem. Ale już mu sąsiedzi powtórzyli moją sprawę, już wydobył okulary z pełnego ogryzków dołu. Nietety, szkiełka też były potłuczone. No i co dalej? Jest w Łodzi kilka wielkich salonów optycznych. W każdym urzęduje sztab wytwornych, bardzo grzecznych i fachowych pracowników. W każdym są fotele, lustra, wyostrój plastyczny. Tylko że w żadnym nie ma okularów. Prawie żadnych. — Oczywiście, dostanie pan. Możemy spisać zamówienie, za siedem miesięcy pan otrzyma szkiełka. Oczywiście, możemy też na miejscu oprawić, ale oprawki mamy tylko takie.

— Ale jakże mogę być bez okularów przez siedem miesięcy? Czy lekarz zwolnił mnie z pracy?

— To już nie wiemy, ale nie jest tak źle: u prywatnego optyka pan dostanie prawdopodobnie na poczekaniu.

Prywatny optyk ma maleńką kłitkę, krzesła zamiast foteli, staroświecką lampkę biurową na ladzie i afisz reklamowy „Orbisu” na ścianie. Ma także szkła we wszystkich rodzajach i ogromny wybór oprawek, tylko że oczywiście po rynkowej cenie.

Nie mam pojęcia o branży optycznej i — proszę — nie tłumaczcie, że wystarczyło przeczytać to i tamto albo porozmawiać z tym i owym. Nic nie poczytam

bez okularów, z nikim nie pogadam bo nie mam czasu. Ten felieton piszę na dotyk, przecinki dorobi korektor „Odgłosów”. Jutro kupię szkła u prywatnego optyka. Nie kupi ich ciotka — rencistka, bo dla niej za drogie. Będzie siedem miesięcy siedzieć w domu i jeść źle oskrobane kartofle — trudno dobrze skrobać nie widząc. (Następne zdanie proszę wyobrazić sobie wielkimi literami, najlepiej w kolorze czerwonym).

Dlaczego tak jest?

Nie zgadzam się z góry z argumentem, że chodzi o szkła nietypowe i dlatego. Są zupełnie typowe dla starszego pana. Zresztą córka potrzebowała dla siebie zupełnie innych, ale też bardzo typowych dla początkującego — i też oznajmiła, że zamówienie, że spiszemy i że siedem miesięcy. No to co jest wreszcie typowe? Okulary stonowane? Psakość, żeby choć te były w różnych, ładnych, rozmaitych oprawkach, a nie tylko w „typowych”...

Kultura dzisiejsza jest kulturą wzrokowców. Żaden inny organ ludzki nie jest tak intensywnie eksploatowany jak oczy — i tak niemilosierdzie. Pstryk — i przenosimy się z zupełnej ciemności w oślepiające światło. W pokoju obok półmrok. Na ulicy jaskrawe neon, krok dalej — ciemny tunel, krok dalej migocące czerwone napisy świetlne. Zmiany światła krańcowe, i to co moment. Co dwa kroki. Nie wytrzymaliśmy na przykład analogicznych skoków temperatury, albo hałasu, albo pedu i bezruchu. A oko musi wytrzymać. Mieć litosc dla oczu! Coraz więcej nas jest, okularników. Nie różnic z nas inwalidów, okulary wymyślono już dawno, to żaden wielki cymes ani sekret. Okulary muszą być zawsze do nabycia! Tanie! Ładne i tanie!

CWIEK